POEZYJE WINCENTEGO POLA.

NOWE POPRAWNE I POWIĘKSZONE WYDANIE.

NAKŁADEM AUTORA.

TOM II.

W WIEDNIU.

W DRUKARNI UNIWERSYTECKIÉJ L. K. ZAMARSKIEGO.

1857.

POEZYJE.

WYDANIE NOWE W CZTERECH TOMACH.

MOHORT

RAPSOD RYCÉRSKI

Z PODANIA.

„Cnota sławą się płaci!" rzekł Jan z
Czarnolasu:
Więc co było poczciwe za dawnego czasu,
Niech i dzisiaj to jeszcze jako hasło świéci,
Dla druyny od serca i dla ludzkich dzieci!

WYDANIE TRZECIE.

POŚWIĘCENIE.

Do

EDWARDA TADEUSZA

BIELIŃSKIEGO.

Oto Ci niosę mój kochany Szefie,
Pieśń o Mohorcie i Księciu Józefie!
Pytasz mnie, widzę, jak do niéj przychodzę?
A juźciż tego nie znaleźć na drodze.

Jak kruszec drogi są stare podania,
Co za nim trzeba spuszczać się w głąb ziemi;
I do udziału serce się nie skłania,
Co z dawna tylko rozmawia z zmarłemi.

Bo ta pierś wierna, co podanie chowa,
Taka milcząca, jak deska grobowa,
I z wierzchu zimna i jak lodem ścięta,
A jak relikwiarz dla świata zamknięta...

Więc jak odważyć tę deskę grobową?
I czém wywołać zmarłe w piersiach słowo?
Czy to się nada, co się z grobu rodzi?
I czy relikwiarz otworzyć się godzi?

Długo się o to pytałem niepewny,
I długom milcząc na tych grobach siedział,
Nad zbiegłym czasem, bolejący, rzewny,
Aż mi świat w końcu na to odpowiedział.

Jak zapowiednia lepszych przyszłych czasów,
Nowe zasady poczęły wychodzić,
Co miały ludzkość na nowo odrodzić,
I świat wybawić z śmiertelnych zapasów.

Na takie hasło prosił każdy w progi
Posłów zbawienia, jako niebios gości;
W imię nadziei i świata przyszłości
Każdy ustąpił nowym ludziom drogi.

I wystąpili na świat nowi ludzie,
I świat pracował w bardzo wielkim trudzie;
Aż padł nareszcie zlany krwawym potem,
Bo co mu święte to zbryzgano błotem.

I wystąpili na świat ludzie nowi,
Z owém pogaństwem co przed krzyżem padło;
I zarażali wścieklizną zajadłą,
I nowy ółtarz wznieśli bałwanowi.

I świat się od nich odwrócił z boleścią,
I łaknął znowu za niebieską wieścią,
I szukał Boga — a lepsi i szczérsi
Naprzód się w żalu uderzyli w piersi.

I jako karę przyjęli tę chłostę,
Że mogli zwątpić i w święte i w proste,
Że zapomnieli na to co się działo,
Że Bóg opatrzne rządy świata trzyma,
Że odkąd Słowo tu się Ciałem stało,
Już dla ludzkosci nowéj prawdy niéma!
Więc za kotwicę wziął świat znowu wiarę,
I znowu dzierży co nazwane stare!
Stare rozumem i stare sumieniem,
A wiecznie młode duchem i natchnieniem,
I woli dobréj i świata miłości,
Jako duch z ducha — jako kościół z kości!

O łatwiéj było zdeptać to co dzielne,
Niż sprostać temu — i łatwiéj to zmienić,
Czego człek w grzéchu nie zdoła ocenić,
Niźli ogarnąć, co jest nieśmiertelne.

A więc i u nas puszczono na nicę
Łaski kościoła, Narodu skarbnicę,
I tylko prawie miłosierdzie Boże
Dało nam ujrzéć już zachodnie zorze
Wiélkiéj przeszłości, tlejącéj w iskierce,
I na obrońcę dało to co dawa
Upadłéj sprawie — „kochające serce,"
Aby poczciwa nie ginęła sława,
Aby nie było światu w poniewierce,
Co obok Swiętych Pańskich w dziejach stawa.
Wielka przed Bogiem miłości zasługa
Co się trzymała — krzyża — szabli — pługa
Tak prześwietlona duchem Bożym wiernie,
Że godna przyjąć w siebie nawet ciernie.
W téj to zachodniéj już Narodu zorzy,
Na fali dziejów obraz się kołysze,
Jeden z tysiąca — a zawsze Mąż Boży:
Więc żywot jego na grobowcu piszę...

„W kim duch pogański lub dusza bezbożna,
Kto nie wié co to rycérsko i rolno,

Temu szlachcica zabić nawet można:
Ale drwić sobie z szlachcica nie wolno!“

Tak to mi mawiał niegdyś Pan Ksawery;
I wiernie chowam czasy w upominku,
Gdyśmy po łowach nie raz przy kominku
Noce trawili w pogadance szczéréj.
Było to w owym Kalenickim dworze —
Mgły się jesienne wieszały po borze;
Czasem jak całun przerwały się chmury,
I znowu widne po miesiącu góry.

Było to w nocy i już dobrze późno —
Z wieczora czułem, że pod koniem mięknie;
Lecz się z północy wyjaśniło pięknie,
I jasno było chociaż było mroźno.

Chociaż już zapiał kur i załopotał,
Jeszcze w kominie płonęła buczyna,
I wierny Klejnot drzymał u komina,
I ów jaz szumiał i młynek turkotał;
A z tym to szumem i turkotem razem
Biegły godziny nieujętym zdrojem,
I myśli biegły przepuszczane płazem —
A Pan Ksawery siedział w krześle swojém,

W końcu mi rzeze — „Na żywego Boga!
Co się to stało u nas czasy temi!
Wszakci do szczęścia była znana droga,
Którą szedł Naród wiekami całemi.
Wszak po téj ziemi widne były stopy
Mężów rycérskich, a i Świętych Pańskich:
A dzisiaj wiara potraciła tropy,
I świat sią upił w praktykach pogańskich!
Czego tu trzeba? po co szukać daléj?
Wszakżem sam z młodu duchem takim pałał,
I żył tém życiem i kochał i działał,
I znałem ludzi kutych jak ze stali.
A kiedy za mnie bywali takimi,
To jużciż musiał być tam ktoś przed nimi,
Co po Bożemu w ojczyznie się porał,
I rolę ojców tak pod nich zaorał,
A potém posiał ją takim posiewem,
Że owoc światu szlachetny zrodziła:
Znana w kościele męczenników krzewem,
A w dziejach świata z bohatérów siła.
Czego tu trzeba? po co szukać daléj?
Kiedym poczynał mój zawód wojskowy,
Żył tam na krésach mąż dzielny, surowy,
I z jednéj sztuki kuty jak ze stali.
Z Litwy był rodem, choć na krésach służył;
A choć za Szwedów już téj krwi nie skąpił,
Po moje czasy znaku nie odstąpił.
A przecież nigdy w służbie się nie znużył.“

„Ty, co to lubisz przeszłe dzieje badać,
— Rzekł Pan Ksawery po niejakiéj chwili —
Twoję to młodość wzmocni i zasili.“ —
I o Mohorcie począł opowiadać.

A jak się rozgrzał i szczérze rozgadał,
To od niechcenia sam się rapsod składał;
I gdym się wpatrzył w ową przeszłość ciemną,
Do razu posąg stał niby przedemną.

Ktoby to myślał, ktoby się spodziewał,
Że gdzieś za światem w bodziakach Czehryńskich,
Że gdzieś na krésach niegdyś Ukraińskich
Taki świat dzielny i uroczy bywał?

Od owéj nocy ubiegło lat wiela,
I ów dwór górski pusto stoi sobie,
I niéma łowów, bo i przyjaciela
W czarnym żupanie złożyliśmy w grobie.
Ostatni jeszcze to Pan Miłościwy,
Ostatni jeszcze w Sanockiém myśliwy,
I pełen ducha i pełen dzielności,
Jako krew ze krwi i jako kość z kości.
Więc na cześć Jemu, na cześć Mohortowi,
Niechaj ta karta coś i dalszym powié.

Cóż o nich mówić? kto z ludzi nie błądził?
Lecz Pan Bóg będzie ich łaskawie sądził:
Bo w domu ojców jak starszyzna stali,
I to czynili co z wyroku padło;
Co Bóg powierzył, to na nich nie siadło,
Bo miłość swoję następcom podali.

Ztąd w téj zachodniéj już Narodu zorzy,
Na fali dziejów obraz się kołysze,
Jeden z tysiąca — a zawsze Mąż Boży:
Więc żywot jego na grobowcu piszę.

WIECZORY KALENICKIE.

I.

Nie raz Ci pono już mówiłem o tém,
Z jakim ja żalem te strony porzucił;
Jak mnie dopiéro step znowu ocucił,
Jak o bogdance zapomniałem potém,
Kiedy mnie owiał stepu oddech zdrowy,
Gdy mnie ożywił duch służby wojskowéj
Na Ukrainie.
O mój wielki Boże!
kędyż to mnie koń nie nosił światem,
I czym ja myślał, że się skończy na tém,
Że w grobie ojców jeszcze głowę złożę?
Innem ja życie roił sobie z młodu,
Gdy wiatr dnieprowy owiał mnie od wschodu:
Wstępując w służbę jam sobie układał,
Że będę w bitwach i na koniu starzał,

W namiocie sypiał, przy ognisku jadał,
Że orzeł będzie nad nami się zważał;
Że całe życie na stepach mi spłynie,
Że krzywa szabla wśród boju zasłynie.
I jadąc w pole z sokołem na pięści,
Ja byłem pewien że Bóg nam poszczęści,
A kiedym ujrzał mogiłę z daleka,
Tom roił sobie: że jak legnę w boju,
To takie łoże na stepach mnie czeka,
Gdzie niby Hetman wypocznę po znoju.

Nie darmo w stepy ukraińskie z dawna
Młódź się garnęła ochocza do boju:
Boć po Hetmanach kraina to sławna,
A woda bywa najczystsza u zdroju,
Ojczyzna mogił, to ziemia rycérzy,
Kto w Boga wierzy, ten i w szablę wierzy.

Kiedy mnie ojciec z Dubiecka wyprawiał
W drogę na krésy, nie długo zabawiał:

„Idź w dzikie pola, kędy życie chrobre
I exercitium dla młodego dobre,
Zawdy na koniu i zawdy w obozie,
W służbie, w posłuchu i w hetmańskiéj grozie."

Takie to, takie brała namaszczenie
Rzeczpospolita, na domowym progu,
Było rycérstwo, bo było sumienie,
I cześć dla starszych i ufanie w Bogu.

Z ciężkiem ja sercem pojeżdżałem z razu,
I dzisiaj jeszcze zapomnieć nie mogę
I ojca mego, i matki obrazu,
Boć téż uczciwie wyprawili w drogę!

Cztéry wierzchowe, trzy konie do bryki,
A bryka długa i łubem wyszyta,
I jak spiżarnia Pani Matki syta,
Chłopcy gotowe na trud i wybryki,
Dobrze okryte, i jak ja niegłodne,
Zaprząg był nowy — rzędy były sprawne,
Dał téż Jegomość i trzy szable sławne,
I prócz szturmaka, dwie strzelby dowodne,
Dwie smycze chartów, i sygnet herbowy,
I trzos z tynfami, i kaftan łosiowy,
I rzekł poważnie gdy to wszystko dawał,
Gdym stopy jego ściskał najgoręcéj:
„W poczciwéj sprawie będziesz Wasze stawał
O tém co daję — masz się Waść sposobić,
I w łasce Bożéj fortuny dorobić,
I dobréj sławy — bo nie dam nic więcéj!...“

A matka znowu dała pokryjomu,
Jeszcze dni kilka przed wyjazdem z domu,
Dała, jak mówią, na dziś i na jutro:
Więc drogą szpinkę, strojne czaple pióro,
Rysia na kołpak — niedźwiedzia na futro;
A bryka była i płótnem i skórą
Dobrze ładowna — że zapasu stało
Jeszcze w lat parę dla mnie i czeladzi;
A nadto jeszcze (co nigdy nie wadzi)
I sto czerwonych złotych się dostało;
A oprócz tego na mundur osobno,
Aby nie tykać woreczka ze złotem:
Więc się w świat można było puścić o tém,
Choć w sercu było długo mi żałobno.

Po drodze było jeszcze dość scen rzewnych:
Bo ojciec kazał objechać mi krewnych,
Błogosławieństwo na drogę uprosić,
I zlecić siebie łasce i pamięci;
Więc nie raz przyszło jeszcze oczy zrosić:
Bo cóż to serca i co dobrych chęci,
Miał ten świat polski dla młodego człeka,
Każdy obdarzył — bo podróż daleka,
I błogosławił — bo koléj niepewna,
I żegnał chlebem na domowym progu,
I dał przestrogę, i polecił Bogu,
Że dzisiaj o tém pamięć jeszcze rzewna.

Ledwo we Lwowie mogłem się ukoić,
Gdziem sobie sprawił cały mundur nowy,
Abym przystojnie mógł się już wystroić,
I już na krésach stanął jak wojskowy.
Ale od Lwowa stał już świat otwarty,
I pojeżdżałem w kraje coraz nowe...
Na wierzchu bryki trzymał kuchta charty,
Na jeden popas szły przodem wierzchowe.

Dopóki jeszcze szła droga Podolem,
Jechałem sobie przez piękne obłogi
I dniem i nocą, i lasem i polem,
Jak swoją stroną, nie pytając drogi;
Lecz gdym się przebrał przez podolskie jary,
Kiedym się wybił na wielkie równiny,
Minąwszy nieco Konstantynów-Stary,
Owiał mnie oddech już obcéj krainy:
Bo tam na wschodzie od wioski Bachłaje,
Już ów Tatarski — „Czarny-Szlak“ nastaje,
I wiéją wschodnie wiatry ukraińskie,
I w trawnych stepach buja sobie oko,
I pierś oddycha wolno i széroko:
Hej! gdzie Rzym? gdzie Krym? gdzie Karczmy
babińskie?

Wolno jechałem, bo była pogoda,
I maj na niebie, i w duszy swoboda;

Nie raz mi nocleg przypadł w stepie czystym,
I głos przepiórki do snu mnie ułożył,
A kiedym oczy znów w nocy otworzył,
Tonęła dusza w tém niebie gwiaździstém:
I w ów czas czułem na łonie natury,
Że naszém sercem taka pieśń kołysze,
Któréj Pan Nieba błogosławi z góry,
Lecz któréj w słowach człowiek nie wypisze.

Są piękne chwile i czyste natchnienia
W życiu człowieka, co lgną do sumienia
Jak jasne gwiazdy, jak słowa miłości,
Dopóki jeszcze godzien tych piękności.

Takie to było w stepach me zaranie,
Od takiéj zorzy brałem powitanie,
I takie głosy Nieba, czy Narodu,
Niósł wiatr stepowy do duszy od wschodu..
I tak jechałem coraz daléj, daléj,
A step przepływał nakształt morskiéj fali.

Ze stepów Bohu, więcéj ku wschodowi
Zwróciłem konie — na stepy dnieprowe,
I pojeżdżałem szlakiem ku Dnieprowi,
Kędy na krésach wojska narodowe

Od ujścia Rosi począwszy, już stały —
A gdzie mi tylko mignął futor mały,
I w każdém siole, i nad każdą rzéką
Pytałem ludzi, czy jeszcze daleko
Do brzegów Dniepru? — A czém bliżéj było,
Tém niespokojniéj serce moje biło:
Jakieś uczucie szczęścia i obawy,
Jakieś pragnienie i czynów i sławy
Paliło duszę — i z każdym noclegiem
Jechałem raźniéj — jakby nad tym brzegiem
Raj obiecany gdzieś tam dla mnie leżał,
Jakbym się lękał, żeby nie odbieżał
Dniepr swego brzegu! —

I noc zapadała,
I znowu ranna zorza mi świtała,
I znów był dzionek i było południe,
Gdym ujrzał futor i dworek i studnię.

Zjechałem z szlaku chcąc się napić wody,
W tém wyszedł z dworku człowiek już nie młody,
A widząc żeśmy zjechali już z drogi,
Krótkiemi słowy zaprosił w swe progi.
Był to poważny szlachcic i wojskowy,
Co w kawaleryi służył narodowéj;
Właśnie już było nakryto do stołu,
Więc téż i obiad zjedliśmy pospołu.

Świadomy miejsca opisał mi drogę,
I rzekł że w miejscu stanąć jeszcze mogę
Na piérwszéj luce, nim słońce zapadnie,
Ale że dobrze pojeżdżać wypadnie.
Więc téż nie bawiąc uprzejmie żegnałem,
I wziąwszy mundur żwawo pojeżdżałem.
Noc już zapadła od godziny blisko,
Gdym w końcu stanął na luce strudzony,
Gdzie Pan Porucznik miał swe stanowisko,
Któremu listy byłem polecony.

Po drodze nocny rozjazd mnie powitał,
I przeprowadził do saméj granicy,
Żołnierz od czaty naprzód mnie wypytał,
Potém samego puścił do strażnicy.

Z wolna wstąpiłem do izby ponuréj,
Którą z nad półki kaganek oświécał,
A od téj półki wisiały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał.
Dymek błękitny płonącego włókna
Wązkim się pasem po izbie rozścielił,
W wielkim kominie płomień czasem strzelił,
I zbiegł wężykiem po szybach od okna. —
A izba była pusta jak stodoła,
Prócz kołków w ścianie, pócz ławy i stoła
I prócz proporca, nic więciéj nie było.

Przetarłem oczy — bom nie wierzył sobie,
I rozumiałem, że mi się przyśniło
Jakieś widziadło, niby w nocnéj dobie:
Jak gdyby z grobu powstał Hetman który,
Taki mnie widok ugodził potężny,
Taki mąż siedział przedemną orężny,
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury,
Na koźle z drzewa uciesanym siedział
Niby na koniu — a choć sobie drzymał,
Czuwał jak żóraw i o sobie wiedział,
Bo śpiąc — pistolet w prawéj ręce trzymał. —
Biały włos lekko osrébrzał mu głowę,
A rysy były tak pięknie-surowe,
Że więcéj prawie podobien z daleka
Był do posągu, niźli do człowieka.
Był to Pan Mohort.

A gdy przed nim stałem,
Gdy mu od ojca listy oddać miałem,
Patrząc na niego, dopiéro pojąłem,
Dla czego ojciec mówił: — „Czołem! Czołem!
I nie zapomnij Waść w gębie języka,
Gdy przyjdzie witać Pana Porucznika!"
Bo był to jeszcze wojownik z pod znaku,
I wielki strażnik hetmańskiego szlaku,
Czujny jak żóraw, całe życie zbrojny,
Jako lew dzielny, jak posąg spokojny.

Długo myślałem, co robić wypada:
Zbudzić? nie budzić? — trudna była rada;
Stoję i czekam — kaganiec się mroczy,
W tém brzęknął pałasz od przeciwnéj strony,
A Pan Porucznik rozwarł zwolna oczy:
„Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!“
— Na wieki wieków! — z cicha odpowiada,
I z kozła swego niby z konia zsiada,
A potém trochę kagańca poprawił,
A potém rzucił na mnie wzrok surowy,
I zmierzył ostro od stóp aż do głowy,
I pytał krótko — a gdym mu się sprawił,
Rzekł, wysłuchawszy z uwagą wszytkiego:
„Jak się dzień zrobi, to i list wyczytam,
A teraz syna pana Antoniego
Jako krew bratnią z poczciwością witam!
Dziś już za poźno, i jestem na służbie,
Lecz jutro Waści na krésach podrużbię:
Już tu nie jeden piérwsze żołdy czynił,
Więc po staremu będę gospodynił...

Poszedł ku półce, kędy stał kaganek,
Do owych sznurów za zégar służących,
Policzył węzły na knotkach płonących,
I rzekł: „Nie zaraz będzie jeszcze ranek!
Wracaj do koni, boś zdrożony może,
A jak zatrąbią na poranne zorze,

Czekam tu Waści“ — potém krzyknął — „służba!“
Starszy towarzysz, człowiek już nie młody
Wstąpił do izby — „No, przybył nam drużba!
Dacie mu nocleg, a koniom wygody,“
Rzekł Pan Porucznik, i zlecił nas Bogu,
I przeprowadził oczyma do progu.

Kiedy oświtłem — dopiéro ujrzałem
Żem był w okopie który zamykała
Brama na piętro otoczona wałem.
Była to sobie taka twierdza mała
Nad brzegiem Dniepru — okop był sklepiony,
W nim stały konie, na bramie strażnicy,
Nad bramą obraz był Boga-Rodzicy,
A pod nim napis — „Pod Twoje obrony.“

Ledwom się trochę ogarnął z noclegu,
I ledwom sprzątnął po sobie me łoże,
Przybył towarzysz: że czas do szeregu,
Bo już zatrąbią na poranne zorze.

„Baczność!“ i Mohort stanął przed szeregiem:
W górze nad bramą był ganeczek mały,
Z niego się trąby po rosie ozwały,
I głos ich skonał za dnieprowym brzegiem.

Hajnał krakowski odgrali trębacze,
Który od wieków, co zorzy porannéj,
Z Maryackiéj wieży po nad Polską płacze
Czystemi łzami Przenajświętszéj Panny;
A potém męzkie podniosły się głosy,
I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.

Jak nie zapomnę nigdy piérwszéj bitwy,
Tak nie zapomnę téj piérwszéj modlitwy,
Bo cudny urok miał ten śpiéw poranny
Polskich rycérzy, do Najświętszéj Panny,
Który po wiekach i pobojowiskach
Od pokolenia staréj Polski płynął,
I tu dopiéro w dnieprowych urwiskach,
Na krańcach Polski w Ukrainie ginął!

Po téj modlitwie chórem odśpiéwanéj
Rozjazdy nocne raporty złożyli,
Potém szła koléj i służby i zmiany,
A chwilą późniéj gdyśmy odstąpili,
Dopiéro w ów czas, znów mnie Mohort witał,
I rzekł: że listy od ojca odczytał,
I życzy sobie opatrzyć me konie.

Z nocy stał jeszcze mój tabor na stronie,
Ludzie przy bryce, konie posiodłane,
I do poręcza rzędem powiązane.

„Coś mi Waść dworno! a wyglądasz przecie,
Jakbyś sam jeden mógł jeździć po świecie!“

Potém obejrzał cały tabor w koło,
Konie i ludzi, i z tyłu i z przodu,
I rzekł mi w końcu, pomusnąwszy czoło:
„No — konie dobre! i nie miały głodu!
A co do ludzi, to zobaczym jeszcze.
Waść jedziesz ze mną — lecz na moim koniu,
A rzeczy twoje i ludzi umieszczę
Tu na podzamczu, w bezpieczném ustroniu,
Lecz swoje konie każ mi rozkuć zaraz,
Bo choć wierzchowe, niebardzo im skoczno;
W znaczek je puścić — niech z drogi wypoczną,
Bo w wojsku konia potrzeba nie na raz.

Pisze mi ojciec, że się rwiesz do świata,
I że krew żwawo po żyłach się sączy,
Więc wyprobujem tutaj pana brata.
Jest tutaj pole, zobaczym czyś rączy,
Krewkość niedobra — ale krew rzecz święta,
I nie za piecem chowają orlęta!
„Ptaku mój, ptaku pancernego znaku!“
Ot dzisiaj właśnie na krésy wyruszę;
Pojedziesz ze mną od szlaku do szlaku,
Kędy rycérskie rosły animusze,

Tam się rozpatrzyć trzeba Waści rano,
Bo co jest dzielne, to dla nas nieobce,
Boć i ojcowie mieli krew rumiąną,
Jak świadczą w stepie mogiły i kopce!

Kiedy to mówił, zwolna sobie kroczył,
I wstąpił ze mną na okop wspaniały;
A ztąd do razu kraj się rozkrył cały,
Dniepr u przepaści wstęgę swą roztoczył,
A jak najdaléj sięgło tylko oko,
Świat się rożłożył za Dnieprem széroko,
A na w dłuż rzéki pomiędzy skałami,
Mgła się poranna zwijała kłębami,
I w téjże chwili piérwszy blask promienny
Ocknięte stepy z ukosa zadrasnął,
I świat się budził — ale Dniepr był senny,
I spać się zdawał, jak pod mgłami zasnął...

Ledwom wrażenie w duszy stłumić umiał,
Ah! bo i w duszy było w ów czas rano...
A Mohort zda się, że mnie wyrozumiał,
Bo rzekł: „i oni mieli krew rumianą!“

Trąba z nad bramy dała znak pochodu.
„No weź żywności byś nie doznał głodu,

Bo różnie bywa, a nabij Waść bronie,
Mnie czas opatrzyć i ludzi i konie!“

Bo trzeba wiedzieć, choć nie było wojny,
Przecież na krésach rzadki dzień spokojny.
Humańskiéj rzezi pamięć była świéża,
A bojaźń dżumy trzymała żołnierza
I dniem i nocą na czacie granicznéj:
Bo potrzeb wielka, a człek był nieliczny.
A że Porucznik sobie nie folgował,
Więc i podwładnych w służbie nie żałował,
To i o plaster nie było tam trudno,
I trzeba było stawać nieobłudno.

Tam na dwór jakiś Tatary napadli,
Na pograniczu, i cerkiew złupili,
To znów Kozacy tabun nam ukradli,
Czeladź uwiedli, lub wioskę spalili,
Czasem i łotry od multańskiéj dziczy
Wtargnęli siłą dostawszy języka,
Czasem téż nasi — tak na ochotnika
Ruszyli sobie na odwet ku siczy.

To téż gdy Mohort objeżdżał granicę,
Zawsze wyruszał najmniéj we sto koni,

Gotów do boju — i w takiéj pogoni,
I tym téż razem opuszczał stannicę.

Poczt był prześliczny gdy ruszył po błoniu,
Na przodzie jechał na srokatym koniu
Najstarszy trębacz sławny nasz Kafarek,
A za nim siedział na kuli Zégarek.
Tak zwał koguta co go woził z sobą,
Bo był jak sokół na to unoszony,
Aby znać dawał kiedy nocną dobą
Czas zmieniać straże — jakoż ustrojony
Był czarny kogut w porządny kapturek:
We dnie na głowie, a nocą na sznurek
Wzięty do nogi, budził obóz cały,
I podług niego czaty się zmieniały.
Tak był łaskawy, że z rąk tylko jadał,
A przy ognisku na ramię nam siadał.

Kafarków srokacz nie dotykał darnia,
A nocą świécił przodem jak latarnia;
Sam zaś Kafarek był myśliwy sławny,
I do sokołów i do chartów sprawny;
Tuż przy nim biegło zawsze chartów kilka,
Z których brał każdy pojedynkiem wilka.

Kiedyśmy krésów objeżdżali kraniec
A noc zapadła nas czasem na stepie,

W ów czas rozpalał Kafarek kaganiec,
I nie raz przygrzał Tatarowi w ślépie,
A lulkę przy nim pozwolił zapalić,
I w dobréj zgodzie z granicy oddalić.

Oo ujścia Rosi — aż tam gdzie Siniucha
Na pograniczu już do Bohu wpada,
Szła linija krésów i ziemia tak głucha,
Że tylko czasem pod koniem zagada.

Sześć tam chorągwi pogranicza strzegło,
Daleko było od luki do luki,
I kilka rzędów mogił stepem biegło,
A czort stepowy wyprawiał swe sztuki.

Pan Mohort z dawna miał obyczaj taki,
Że gdy poczt sprawił i wywiódł na szlaki,
Opodal środka sam jechał na boku,
Aby miał ciągle cały poczt na oku,
I gdzie potrzeba, stanął w jednym skoku;
Tutaj poczynał o zorzy porannéj
Śpiéwać Godzinki do Najświętszéj Panny,
A wszystka wiara powtarzała za nim,
I pieśń płynęła po rosie zaraniem, —
Konie parskały, a jakaś otucha
W górę ku niebu podnosiła ducha.

Głos miał potężny: i czy tam bywało
Krzyknie przed siebie „A wolno od czoła!“
Czy na straż tylną w potrzebie zawoła,
To już wyraźnie człeku się zdawało
Że w ucho mówił, chociaż się nie silił,
A na komendę nawet koń nie zmylił.

Z tego téż miejsca było najdogodniéj,
Kiedy już w stepach było nieco chłodniéj,
W miejscu upatrzyć zająca i strzelić,
Lub się w pochodzie charty rozweselić.
Jeśli Kafarek prześlepił na przedzie,
To już Pan Mohort pewno go dojedzie;
I zawsze bywał krésy objeżdżając,
Lub na pieczyste, lub do barszczu zając.
A jak Kozacy dostarczali burek,
Tak lisy w rudkach krésowych lisiurek.
Pan Mohort w stepach rad zawsze polował,
I nie jednemu i wilki darował.

Jako nowicyusz, ja na lewém skrzydle
Jechałem z razu, i koń mi się zrywał:
Spostrzegł to Mohort — „Jak tam koń w wędzidle?
Czy Waść na przedzie zawsze tylko bywał?
Poskocz-no ku mnie!“ A więc w jednym skoku
Zebrawszy konia, byłem mu u boku.

„Basta!“ zawołał — „Śmiało jeździsz Wasze,
Jeźli tak samo zetniesz się w pałasze,
To nie źle będzie, boś równo osadził,
Byleś mi konia spokojniéj prowadził.
Jakże się Waści w tych polach podoba?
Tu już potrzeba z konikem od żłoba!
Piérwsze to piérwsze pole na sokole,
Toć poznać trzeba tę rycérską rolę.
Kto w boju legnie, narodowi miły,
Bóg sieje ludzi — człek sypie mogiły....

Kto Boga w sercu, a kord ma przy boku,
Ten znać powinien, że oko puklerzem,
Że cała dusza ma być wiecznie w oku,
Kto nie ma oka, nie będzie rycérzem;
A kto rycérzem, ten już po zakonie
Znać to powinien, czego bronić trzeba:
Więc naprzód stawać ma w wiary obronie,
I Maryi Panny téj Królowéj Nieba;
Potém w obronie granicy — i basta!
Bo reszta z tego już człeku wyrasta.
A kto się takim puklerzem uzbroi,
Kto przy kościele i granicy stoi,
Ten się prócz Boga niczego nie boi.
Tyle słów wszystkich — i pasuję niemi
W Wielkiéj Ojczyznie ciebie na rycérza;
Pilnuj zakonu! dotrzymaj przymierza,

A wszystko składaj w Bogu albo w ziemi....
Tyle słów wszystkich.“

I jakoż ni słowa
Nie rzekł już więcéj do końca samego,
Ani następnie, ani dnia owego
Téj treści do mnie — lecz mądrość surowa
Przylgnęła mocno na zawsze do duszy,
I nic jéj z serca więcéj nie wyruszy!

Boć to zaprawdę niezła była szkoła,
Gdzie oprócz nieba i stepu do koła,
Tylko mogiły świadczyły przeszłości,
I poprzedników pobielałe kości;
A prawdę poznać na rycérskim szlaku,
I ślad poczciwy własném sercem zmierzyć;
„Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!“
To w taką prawdę wiecznie trzeba wierzyć.

Kiedyśmy wyszli na hetmańskie szlaki,
Kazał Pan Mohort narodowe znaki
Odkryć — i z piérwszéj stepowéj strażnicy
Kazał otrąbić pieśń Boga-Rodzicy,
I rzecze do mnie: „To już grunt klasyczny,
I w ręku dzielnych, jak bułat dziedziczny,

Tu już tradycyą trzeba dziatwie matczyć,
Bo ci spią głucho, coby mogli świadczyć.“

I odtąd wszystkie mogiły już liczył,
I wszystkie wały i graniczne kopce,
W których okopach gdzie kto stawał kiedy,
I kto dowodził, kto zwyciężył wtedy,
Wszystko to wszystko, nie było mu obce.
Nie raz to zjechał ze szlaku na milę,
By obóz stawał zawsze przy mogile,
Znał każdy futor, każdy młyn stepowy,
Każdą pasiekę pomiędzy parowy,
Każdą krynicę, każdy krzyż przy drodze;
I kiedy nocą pofolgowoł wodze,
Sam koń już wiedział kędy mu potrzeba,
A ty patrz tylko gwiaździstego nieba,
I gdy ta ziemia dla nas wszystkich była
Zaklętą księgą, gdzie tajemnic siła,
O które każdy tylko serca pytał,
To on w téj księdze tylko jeden czytał.

Nie tyle grozą, jak raczéj dozorem
Stała chorągiew — bo Mohort był wzorem
Wojskowéj służby — i kto pod nim służył,
Służbę pokochał i nią się nie nużył,
I mimo wiedzy nabiérał spokoju,
Powagi, hartu i serca do boju.

Lubił odwagę w towarzystwie naszém,
Lubił i zręczność i dzielność na koniu;
Ale broń Boże brzęknąć tam pałaszem,
Lub dla pustoty harcować po błoniu,
Zawsze ukarał za takie junactwo;
To się téż strzegło i wybryków bractwo.

W samych początkach nie wiedziałem o tém,
I nabawiłem się trochę kłopotem:
Nad brzegiem Dniepru leżały tam kłody,
Kędy chorągiew z końmi szła do wody.

Chętka mnie wzięła: a no czy koń skoczy,
I nuż harcować przez kłody i łodzie,
A w towarzystwie rozległ się ochoczy
Okrzyk — a Mohort spuszczał się ku wodzie
Z góry wąwozem — ja go nie dojrzałem;
Ale jak zwykle, w towarzystwie całém
Chciano koniecznie bym wpadł w samołówkę,
I jak nowicyusz opłacił frycówkę.
Więc nikt nie ostrzegł, że Porucznik jedzie,
Aż sam już krzyknął — „Będzie tego! będzie!
A jakiż junak! jaki rycérz srodi!
Ot z pozwoleniem... Ot powiem ja Waci,
Nie wielka sprawa, że szkapa ma nogi!
Kto chce być dzielnym, niechaj sobą płaci!

A gdy się stawisz do skoków ochoczym,
To dla junaków są tu inne skoki;
Kłody wysokie, a Dniepr nie wysoki,
Więc proszę za mną! na tamten brzeg skoczem!“

I puścił konia — koń był dzielny, śmiały...
Spłynął — a płynie, że widny grzbiet cały.
Z razu pół biédy — lecz gdy w środku rzéki
Przed się pojrzałem, a tu brzeg daleki,
A woda zniosła, a strach mnie opłynął,
To byłbym może w ów czas tam i zginął.

Ale mój Mohort, jak na szpaku bryznie,
Jak mnie nie poprze swoim koniem z boku,
Jak nie pochwyci, to już w jednym skoku
Wyrwany z toni — stałem na mieliznie.

Wir nie széroki lecz był bardzo rwący,
Daléj nie było koniom jak do brzucha. —
„A co? — powiada — a gdzieś podział zucha?
Kipi Dniepr bratku, chociaż niegorący!“
Ale z powrotem to już czajka w biegu,
Zniosła nas lekko od drugiego brzegu.

II.

Dzielny był Mohort i silny i zdrowy,
Czysty jak gołąb, do ostatniéj nitki,
Nie brakło nigdy ni szabli, ni kitki,
Lecz jak się zdało był bardzo wiekowy.

Miarkując z tego co sam opowiadał,
Już dobrze z górą sto lat sobie liczył —
Jakoż na konia z klocka tylko siadał,
Z wieczora sypiał, raz na dobę jadał,
A już z północka wszystkie kury liczył.

Za szwedzkiéj wojny był już namiestnikiem,
I pięciu królów pamiętał na tronie,

Nie było człeka w Litwie i Koronie,
Coby po służbie był mu rowiennikiem;
A jak pamięcią najstarsi sięgali,
Wszyscy Mohorta już siwego znali.

Z dawnych to wieków tak w Polsce bywało,
Że te chorągwie co na Rusi stały,
Starzejąc w służbie i idąc za chwałą,
Więcéj Hetmanów, niż Królów słuchały.

Był to akt wiary każdego szlachcica
Na Ukrainie — że już po kościele
Niéma jak Hetman na rycérstwa czele;
Że nic świętszego w Polsce — jak granica!
A strzedz granicy — to rycérska sprawa!
Więc téż na krésach o to dbano mało,
Co się tam z królem i na sejmach działo,
Byle wojskowa nie cierpiała sława.
Lecz o to dbały ukraińskie duchy,
By się Pan Hetman choć raz na rok stawił,
I dodał wojsku serca i otuchy,
I sam chorągwie w czystém polu sprawił.

Więc téż i Mohort był na to zbyt czuły,
Co dla rycérstwa niósł obyczaj stary;

A od Hetmanów dane artykuły
I straż graniczna — była aktem wiary!
Tak zaś wysoko zasługi oceniał,
Że po pacierzu, sercu w upominek,
Imiona wszystkich Hetmanów wymieniał,
A potém mówił — „Wieczny odpoczynek!“
Za wszystkich, wszystkich Litewskich, Koronnych,
Wielkich i Polnych — a co bitew dawnych,
Co fortec wziętych, i co miejsc obronnych,
Wszystkie wymieniał przy Hetmanach sławnych;
A koléj dziejów miał tak ułożoną,
Żeby i we śnie dokończył jéj pono.
„Klemens Branicki! — tu się zwykle wstrzymał —
To już ostatni!... dodawał powoli,
To już ostatni! Panie i to boli!...“
A potém westchnął — westchnął i zadrzymał.

Ha! był to rycérz polskiego przymierza,
Bo pamięć dziejów łączył do pacierza.

Z Litwy był rodem, choć na krésach służył;
Choć stan rycérski nad wszystko mu płużył,
Lubił i rolą, i miał stepu kawał,
Futor, pasiekę i wszystko prócz domu;
Ogrodu swego téż orać nie dawał,
I obsiać ziarnem na wiosnę nikomu,

Lecz go sam orał — „Odwykać nie trzeba
Człeku od roli, a wyknąć do domu!“
Tak to zazwyczaj do nas młodych mawiał,
Co wiosnę zorał choć zagonów parę
Koło futoru — lecz domu nie stawiał:
Bóg i animusz grzeje starą wiarę!
A więc w namiocie od śniegu do śniegu
Mieszkał zazwyczaj — czasem w wielkie szargi
Przysiadł w pasiece — „O zacznijcie wargi“
I znów powracał po krótkim noclegu,
Ale nie ściągnął na leże zimowe
Jak równo z zimą, po piérwszéj ponowie,
Bo zwykł był mawiać: — „złe szlaki tropowe!“
Szalone było téż u niego zdrowie,
Zawsze pochmurny, choć się nie frasował,
Nigdy w swém życiu i dnia nie chorował;
Podpił raz na rok w dzień swego Patrona,
„Vivat! Rycérstwo! Litwa i Korona!
I Ruś co żywi nas tym chlebem Bożym,
I kędy głowę i te kości złożym!“
Tak zwykle kończył gdy go miód rozbierze,
I ciągnął w myśli na — „zimowe leże!“
W maju krew puścił, i pił jakieś zioła,
I tyle szwanku miał na ciele zgoła
Co odniósł w boju — ale był pocięty;
Ztąd gdy przed burzą rany go targały,
Ledwo mógł skończyć pacierz rozpoczęty,
Chociaż w modlitwie był wszystek i cały,

Choć Litwin z rodu, choć uniata hardy,
Choć jak dyament, był katolik twardy.

Cztéry mil prawie od granicznéj luki,
Był tam monastér Ojców Bazylianów,
W nim księża wielkiéj cnoty i nauki,
Wspiérani łaską okolicznych panów,
I nie daremnie — bo miała przytułek
Tam młódź uboga, z parafialnych szkółek:
I już nie jeden co u fórty jadał,
Kiedy się pięknie w tych szkółkach wyćwiczył,
Na starość w ławce przy ołtarzu siadał,
A syn już po nim i wioski dziedziczył.

Sławne to miejsce było odpustami,
A stary Mohort był tam niby w domu,
Bo żył w poważnéj przyjaźni z księżami,
I całe dzieje klasztoru nikomu
Nie były równie znane, jako jemu...
I tu od wszystkich starszy, po staremu,
Jak i na krésach poważnie réj wodził,
I z cicha kącik na starość łagodził.
I zawsze mawiał: — „kiedy już nie będzie
Mógł siąść na konia, a Bóg mu pozwoli
Zebrać co grosza, a klasztor zezwoli,
To na dewocyi u Ojców osiędzie.“

Jakoż w klasztorze miał już własną celę,
A w niéj szlacheckie swoje depozyty:
Turecki namiot, drogie karabele,
Kilka par sukien, nie jeden pas lity,
Sadzone rzędy, co droższe rynsztunki,
Słowem rycérskie sprawne moderunki.
Więc i ksiąg kilka, i kilka puharów,
Kilka pamiątek jeszcze od Hetmana,
Parę kobierców i klasztornych darów,
I sławną szablę od samego Hana;
I familijne w kantorku papiéry,
I relikwiarzyk od matki nieboszczki,
I z Matką Boską ryngraf złoto-szczéry,
Święcone wianki i palmowe rószczki;
I Święci Pańscy ozdabiali ścianę,
A łoże nisko u ziemi wysłane
Było okryte końską skórą białą,
Jako na zakon rycérski przystało.

Miał i piwnicę własną dla wygody,
Co swoim sumptem przed laty zmurował,
W niéj stare wina i wytrawne miody,
A jak mówiono i stary grosz chował,
Co go przekazał po najdłuższém życiu
Na klasztor (jako starszy brat cerkiewny);
Tylko ksiądz jeden, i jeden dziad pewny
Wiedział o skarbie, gdzie leżał w ukryciu.

Chodziła bowiem gadka między ludem,
Że Mohort doszedł bogactw prawie cudem,
Bo mu się nocą jakiś duch pokazał,
Wichrami gnany w czyscowéj katuszy,
I pod mogiłą skarby mu przekazał,
Prosząc, ażeby pamiętał o duszy.

Dziwne to dziwne są te sądy Boże!
Łup hajdamaków znalazł się w klasztorze.
Czyli tak było? nie wiem — lecz gadano,
Że tym siérotom dał nie jedno wiano,
Co po humańskiéj rzezi pozostały,
I z miłosierdzia w chatach się chowały.
A ile razy tylko nów nastawał,
Za dusze zmarłych na msze święte dawał.

Dwa razy na rok dłużéj się zabawiał
W murach klasztornych: raz gdy gości gościł
Na imieninach — to znowu gdy pościł,
I rekolekcye w Wielki-Post odprawiał.

Na Symeona bywał praźnik w maju,
I w monastérze, w Święto Symeona,
Obchodził Mohort dzień swego Patrona.

Monastér leżał prześlicznie śród gaju
Cienistych dębów, śród lip i jaworów,
I cała szlachta z okolicznych dworów
W tym dniu zjeżdżała na solenizacyą;
A Mohort suto podejmował bracią.

Namiot turecki stał zwykle wzniesiony
Przed monastérem, dla uroczystości,
A solenizant pięknie ustrojony
Stał przed namiotem i przyjmował gości,
I pośród gaju bywał dzień wesoły,
Bo pod lipami zastawiano stoły,
A gdy wiwatów nadeszła już pora,
Trąby ich odgłos roznosiły z wieży
Na okolicę — a na znak Rektora,
Bito na vivat z klasztornych moździerzy.

A potém znowu cicho przez rok cały
Bywało w gaju — tylko słowik śpiéwał,
Tylko głos dzwonu w dłuż jaru przepływał,
I po nad źródłem światełka migały,
Gdzie z pod kapliczki sączył się zdrój mały.

I w ciągu roku zdarzało się częściéj,
Że ze mszą świętą księża przybywali,

I dobrodzieja na luce zwiedzali,
Chcąc się dowiedzićć, jak mu Pan Bóg szczęści?

Na nabożeństwie cztérdziesto-godzinném,
I na Popielcu z nami jeszcze bywał,
I „Gorzkie żale“ — po sumie zaśpiéwał;
Lecz po nich zdawszy już komendę innym,
Wracał na futor i brał kubrak na się —
A co uzbiérał przez rok cały w czasie,
Z sadu, z pasieki, z bydła, i ze młyna,
Z tego szła więcéj niźli dziesięcina
Do monastéru Ojców Bazylianów.

Dwie — a czasami — trzy wołowe maże
Suto ładowne, szły dla Ojców w darze —
A na najpiérwszéj sam siedział na wierzchu,
I zwykle stawał na miejscu o zmierzchu;
A gdy zadzwonił u fórty klasztornéj,
To już nie rycérz, lecz kubrak pokorny,
Odsyłał ludzi do dom w Imię Boże,
A sam się wpraszał pokory słowami
Na rekolekcye — a wozy z wołami,
I cały zapas zostawał w klasztorze.

To już przez cały Wielki-Post się bawił,
I włosiennicę pokutną przywdziéwał,

Długie godziny na modlitwie trawił,
I z księżą razem w chórze pieśni śpiéwał;
Bo jako rycérz wziął pokorę z daru,
Więc na usługach cichych i pokornych
Czuwał przy chorych, a chłopców klasztornych
W koléj pacierza słuchał i Alwaru.

Tu na rok cały léki przysposabiał:
Jeruzalemski balsam zwykle rabiał,
Maść Matki Boskiéj cudną od zranienia,
Rycérski kordyał z ziół i okowity,
Na wszelkie wnętrzne bóle wyśmienity,
I jakieś proszki od gadu kąszenia.

Tu zapas kartek zwykle wygotował,
Któremi ludziom febrę odpisował;
A dla klasztornéj i własnéj wygody,
Przepędzał wódki i rad sycił miody ....

A gdy pomyślał o duszy i ciele,
O refektarzu, o świetle w kościele,
I o kaléctwie u klasztornéj fórty,
Gdy chłopców postrzygł i w łaźni wyparzył,
I przybrał w nowe koszule i kurty,
A okoliczne ubóstwo obdarzył:

Wówczas dopiéro dla sławy Narodu,
Przy postnych grzankach i przy szklance miodu,
Z całego roku z pomocą Rektora
I „Sylvam rerum“ spisywał z wieczora;
Aby w klasztornych księgach pozostało,
Co się w Ojczyznie i w Kościele działo ...

Gdy Wielki-Tydzień w końcu już nadchodził,
Mohort zazwyczaj wszystko załagodził;
A kiedy Mękę Pańską zakonnicy
Rozpamiętywać w końcu poczynali,
Klęczał i Mohort tam, gdzie się kapnicy,
Zakrywszy głowy, w skrusze biczowali ...

Aż w Wielki-Czwartek znów był mundur wzięty,
Gdy przystępował do spowiedzi świętéj ...
A choć post cały gdzieś w kąciku jadał,
To w Wielki-Czwartek gdy mundur ubierze,
Po prawéj ręce Rektora zasiadał
I w refektarzu jadł Pańską Wieczerzę.

A po Wieczerzy, starym obyczajem,
Na koń i do dom — komendę odebrał
Przed rezurekcyą — i do ust nic nie brał,
Póki się z nami nie podzielił jajem ...

Przeszedł czas długi saskiego pokoju,
Rozpił się Naród i odwykł od boju,
Po nim nastąpił wiek innego kroju:
Stanisław August i uczył i stroił,
Lecz ni douczył, ani téż dozbroił.
A mój Pan Mohort przez te wszystkie czasy,
Gdy inni tylko popuszczali pasy,
Jak słup graniczny na granicy siedział,
Starzejąc w służbie, a zawsze o swojém;
I choć na krésach o wszystkiém nie wiedział,
Trapił się w kraju tak długim pokojem;
I dochodziły o nim Króla słuchy,
Poznał go nawet kiedy był w Kaniowie.
Lecz że Królowi przydworni panowie
Ganili zawsze te stepowe duchy,
Ztąd téż i łaski u tronu nie mieli,
Chociaż w usługach ojczyzny starzeli.

Był tam Rudnicki, był tam Madaliński,
I Mokronowski późniejszemi laty,
Czasem przebywał i Hetman Ogiński ...
A towarzystwo? to Konfederaty
Co drugi prawie — i komu zaduszno
Było w Koronie, w partyi ukraińskiéj
Znalazł i miejsce i okazyą słuszną,
Dawnych przyjacioł lub przymierze nowe,
I miał przynajmniéj już złożyć gdzie głowę.

Ztąd tutaj tylko, i u takiéj wiary,
I duch rycérski i obyczaj stary
Mógł się przechować jeszcze po staremu;
I kto tu widział wszystko jeszcze cało,
Nie mógłby nigdy nawet wierzyć temu,
Co się podówczas już w Warszawie działo.
Lecz i na krésy przyszła w końcu kréska,
Bo się poczęto przypatrywać z blizka
Sprawom i ludziom, w obozie i w radzie,
Bo się ważyły rzeczy w nowym składzie.

W koronném wojku miał żołnierz traktament,
I cudzoziemski był już autorament,
A kawaleryi narodowéj strojem
Każdy towarzysz sługiwał o swojém,
I sam się żywił, i zbroił i odział;
Komenda polska, na chorągwie podział,
I małe poczty prowadził namiestnik...
A już z chorągwią Pan Porucznik chodził,
Kiedy Rotmistrzem był Miecznik i Cześnik,
Co nigdy w służbie ludźmi nie dowodził,
Bo w Wielko-Polsce lub w Krakowskiém siedział
I o chorągwi swojéj ledwo wiedział.

Takim to sprawy szły podówczas szykiem,
I był Pan Mohort takim Porucznikiem.

A że najstarszy był służbą i wiekiem,
Że rzecz nie stała rangą, lecz człowiekiem,
Że wiecznie siedział na miejscu i łęku,
Ztąd wszystkie końce jeden trzymał w ręku;
Przeszli Hetmani i Regimentarze,
A to się działo co Pan Mohort każe,
Bo stał przy Bogu i brał rzeczy nago,
Ztąd stało wszystko tam jego powagą.
I gdy Król pytał: — „A cóż się tam dzieje?
Jakiż od Dniepru duch tam teraz wieje?“
To zawsze wyszedł z partyi ukraińskiéj
Na wierzch Pan Mohort i Pan Madaliński;
Lecz wypadało to w końcu odmienić;
Czego zgnieść trudno, to trzeba pocenić.
— Weźmy Mohorta tutaj do Warszawy,
A jakoś pójdą ukraińskie sprawy —
Lecz Pan Branicki im na to powiada:
„Weźmy Mohorta, bardzo piękna rada,
Ale ja wątpię czy się to powiedzie,
On służbę rzuci, a tu nie przyjedzie,
I cała partya tylko się oburzy,
Bo Mohort służy, jako nikt nie służy.
Takich jak Mohort nie wielu naliczym;
Jeźli nie służbą, nie ujmiem go niczém!“

A pod te czasy przybył do Warszawy
Był Książę Józef, co się z Kińskiéj rodził,

I za granicą długo do szkół chodził,
I nabył nawet już wojskowéj wprawy,
Bo Regimentem Cesarskim dowodził;
Ale że z rodu był w pół cudzoziemiec,
Ze nie znał kraju, i nie miał zacięcia,
Ztąd nie miał w wojsku ni w Narodzie wzięcia,
I pospolicie był zwan: Książę-niemiec.
  Król się tém strapił — bo go umiał cenić,
Więc wypadało coś jakoś odmienić,
I dać mu jakąś sankcyą osobliwą.
Tu Pan Ogiński wpadł na myśl szczęśliwą
Wezwać Mohorta i oddać mu Księcia:
Polską komendę niech pozna co żywo,
To i nabierze polskiego zacięcia,
I jeszcze w wojsku i w Narodzie wzięcia.
  Więc jako Hetman i najstarszy drużba
Pana Mohorta, taki list wyprawił:
  „W Bogu, i z Bogiem!
    Towarzyszu służba:
Konno i zbrojno będziesz tu się stawił.“
— „Niema co mówić, ordynans Hetmana“
Rzekł Pan Porucznik kiedy list przeczytał;
Więc zdał komendę, a nazajutrz z rana
Już go na drodze promień słońca witał.

  W Warszawie Hetman zapoznał go z Księciem;
Od piérwszéj chwili, gdy mu spojrzał w oczy

I pojął jaki to się świat w nich mroczy,
Był dla Mohorta z tak wielkiém zajęciem,
Iż rzekł w pokorze do Hetmana: „Wierzę,
Że mi się uczyć, gdzie tacy rycérze!“
I odtąd tylko z Mohortem na koniu,
I odtąd tylko przy mustrze na błoniu
Widziano Księcia, i poczęto chwalić,
A piękne Panie poczęły się żalić:
„Co to za trudy na takie paniątko!
Z takim rębaczem zdziczeje Książątko.“

A gdy Pan Hetman coś w tygodni parę
Spytał Mohorta — „Czyś tam kontent z Księcia?
Czy najdzie przecie na naszę tam wiarę?“
„Dobry — rzekł Mohort — nabiéra zacięcia,
Jest krew poczciwa, i serce, i oko;
A jak się w boju spotka z Panem Bogiem,
To może z czasem urośnie wysoko,
I będzie kogo postawić przed wrogiem.“

U Kapucynów stanąwszy kwaterą,
Ciągle na koniu, cały dzień na dworze,
Związał się z Księciem przyjaźnią tak szczérą,
Że Książę zwiedzał go nawet w klasztorze,
Gdzie także bywał i Hetman Ogiński,
Przyjaciel całéj partyi ukraińskiéj.

Tam to o mustrze nie było już mowy;
Dyskurs duchowny, lub tylko sejmowy,
Bo Gwardyan święty, Pan Hetman surowy,
Mohort rycérski — ot i była szkoła:
To chociaż nie raz pokojowiec woła,
I listki nosi, i na ustęp prosi,
To Książę tylko ciągle go odgania,...
I tak do gustu szły mu owe zdania,
Tak je brał chciwie, że nie było mocy
Z klasztoru wyrwać Księcia o północy.

Jedyną tedy pociechą w Warszawie
Był Mohortowi Ogiński i Książę...
Lecz choć i klasztor, choć i przyjaźń wiąże,
Tęsknił do krésów i zmizerniał prawie:
„Już mi tu zginąć widzę w téj Warszawie.“

Wisła mu Dniepru nie mogła zastąpić,
I każdą chwilą życia począł skąpić;
Więc kiedy Księcia już nauczył służby,
Nie chciał pozostać w Warszawie i chwili:
„Tęsknią tam po mnie i konie i drużby,
Muszę na szlaki!“
Więc Król go przywołał,
I ledwo słowy wypowiedziéć zdołał,
Ile mu wdzięczny i ile go ceni,
Że mu Synowca tak pięknie wyćwiczył

W rycérskich sprawach — że się szczęsnym mieni
Mieć go w swém wojsku — w końcu żeby życzył,
Aby Mąż taki, co tak dzielnie stawał
W obronie kraju przez lat szereg długi,
Przyjął nagrodę — a więc krzyż mu dawał,
I rotmistrzowską buławę zasługi
I ukraińską słobodę na wieczność,
A przy tém była i łaska i grzeczność
Króla tak wielka, że aż dwór się zdziwił,
Za co łask tyle i tyle partesów
Dla szerepetki z ukraińskich krésów.
Sam tylko Mohort coś trochę się skrzywił,
I rzekł do Króla: — „Miłościwy Panie!
Umiem ja cenić choć w pomiernym stanie,
I łaskę Waszéj Królewskiéj Miłośći,
I niepowszednie Jego dla mnie względy;
Ale nie dla mnie takie dostojności,
I po staremu rzecz nie idzie tędy!“

Chrzest — to Sakrament niczém niezmazany,
Ja na chrzcie świętym wyparłem się czorta,
I krzyż przyjąłem krwią Boga oblany,
I ufam w Panu — że Pan Bóg Mohorta
Karać nie będzie choć przynajmniéj za to,
(Jeźlim nic więcéj sobie nie wyprosił),
Bom dla ojczyzny ten krzyż wiernie nosił,
Stojąc na czatach przez nie jedno lato;
Więc po raz wtóry krzyża wziąć nie mogę!

Co do buławy — zaszczyt to rycérski,
Ale w chorągwi Rotmistrzem Pan Kierski,
A ja chorągwi mojéj nie porzucę,
Bom w niéj zastarzał Miłościwy Panie!

A co do ziemi — to jéj mam nie mało;
A jéźli z resztą w życiu jéj nie stało,
To jéj dodadzą po śmierci — i stanie.“

Więc Król mu na to: — „A to mi Spartanin,
To Polak twardy! — To Republikanin...
Teraz dopiéro ciężą mi me długi,
Gdy mnie za serce taka cnota chwyta,
Gdy za ubogą jest Rzeczpospolita,
By mogła spłacić swych synów zasługi;
Więc jedną prośbę mam tylko pod niebem:
Nim się rozstaniem, przełamiem się chlebem.“

I wielki obiad był nazajutrz dany
Na cześć Mohorta na zamku królewskim...
I do obiadu przyszedł Król ubrany
W złotym pancerzu, i w płaszczu niebieskim,
Jak na obrazach bywa ustrojony;
Lecz do obiadu był tylko proszony
Sam jeden Mohort z Królewską Rodziną,
A był i Hetman.

Król bardzo łaskawy,
Ciągle się bawił tylko Ukrainą,
I wypytywał o ludzi i sprawy;
Pod koniec stołu, zawołał: — „Panowie!
Ojciec ojczyzny wnoszę teraz zdrowie
Tu najstarszego w ojczyznie Rycérza!
Niechaj nam żyje, z nami się sprzymiérza!“

I wypił kielich, i wszyscy powstali,
A po toaście wyszedł już Król z sali,
I zdjął ów pancerz; a Pani Krakowska
Wniosła go za nim wraz z pięknym szyszakiem,
I wraz z pancernym przez nią szytym znakiem,
Złożyła razem przed Mohortem zręcznie,
I słów nie wiele, lecz rzekła tak wdzięcznie,
Że wszystkich w głębi przejęły te słowa.
Na piersi zwisła Mohortowi głowa,
I rzekł wpatrując się w ów znak pancerny:
„Hej! ptaku, ptaku pancernego znaku!
Jak zawsze byłem téj chorągwi wierny,
Tak Królu, Panie! stoję Bożą wolą,
Rany nie bolą — lecz łzy takie bolą.“
I Książę Józef na starca się rzucił,
Sam Król łzę otarł — Hetman się odwrócił...
I słychać było tylko czyjeś łkanie,
I takie było z Dworem pożegnanie.

Kiedy nazajutrz słońce w pełnym blasku
W Wiśle zagrało, poił Mohort konia
W Wiśle na drogę — w tém tętent przez błonia
I jakieś wierzchy wymykają z lasku.

Mohort się spojrzał — a tu jedzie Książę
Na czele całéj dobranéj młodzieży,
I woła: — „Teraz Pan Mohort uwierzy,
Że kiedy służba, to i na czas zdążę!

Z rozkazu Króla mam oddać tę zbroję
I konia z rzędem, i niech Bóg prowadzi!
A jeźli wolno, składam służby moje,
Bobyśmy gościa przeprowadzić radzi.“

„I owszem, proszę! — rzekł Mohort wesoło;
To mi to życie, kiedy takie koło;
Jabym odprawić miał taką drużynę?
Ja proszę z sobą choć na Ukrainę!“

A w tém nadjechał królewski Koniuszy,
Prowadząc konia — koń był wielkiéj duszy,
Oczy jak gwiazdy, jako piekło chrapy,
Szyja jak łabędź, a piersi jak wrota,

Rzęd staro-polski, aż kapał od złota,
Choć przysłoniony tureckiemi kapy.

Koniuszy — odkrył tyftyk — a u boku
Upięty pancerz i szabla w wytoku,
Szyszak na łęku, a tuż przy szyszaku
Spływa proporzec pancernego znaku.

Spojrzał się Mohort i podumał głową,
Koń parsknął raźno — a on krzyknął — „zdrowo!
Zdrowo mój kosiu! — takiego bachmata
Daj Hetmanowi, a przejdzie kraj świata!“
Pogłaskał konia i nareszcie powié:
„Ha komu w drogę, temu czas panowie!“

I z koniem ruszył pan Koniuszy przodem,
Książę po lewéj, Mohort po prawicy,
Reszta za nimi, i wolnym pochodem
Jadąc ku Górze, w równéj okolicy,
Spojrzeli czasem ku murom stolicy....

Ranek jesienny był bardzo pogodny,
Ale od wschodu pociągał wiatr chłodny;
Ktoś ich dopędził — patrzą — ktoś w wilczurze

Pędził i stanął — A to ja Ogiński,
Stary przyjaciel partyi ukraińskiéj,
Z ranym obiadkiem czekam Panów w Górze.

I jakoż w Górze, z południa dopiéro,
Pana Mohorta pożegnano szczéro ...
I tu dopiéro kiedy na podziękę
Do strzemiennego wyciągnął już rękę,
Siedząc na koniu, pieśń starą zaśpiéwał,
Którą dziękował, gdy podjętym bywał:

„Czas do domu czas!
Zabawili nas!“

III.

Długo toczyła Wisła swoje fale,
I Dniepr niósł długo porohom swe żale,
O i nie mało upłynęło wody
Od owéj chwili, kiedy Książę młody
Żegnał Mohorta, aż do czasów owych,
Gdy już komendę hufców narodowych
Objął nareszcie w Polskiéj Ukrainie ....

Gdy odebrawszy listy Madaliński,
Przybycie Księcia Józefa zwiastował,
Była ztąd radość w partyi ukraińskiéj,
Bo Mohort Księcia wielce umiłował;
A choć się trapił Najjaśniejszym Panem,
I sejmem takim nad wszystko się smucił,

Co starą władzę Hetmanów ukrócił,
Rad byłby Księcia powitał Hetmanem,
Bo jego szczére znał dla kraju chęci,
I mile chował te czasy w pamięci,
Kiedy mu Hetman młodzieńca poruczył,
Aby poczciwie służby go nauczył.

Z przybyciem Księcia, wojska narodowe
Na krésach życie rozpoczęły nowe:
Bo wiele pięknéj przybyło młodzieży,
Przybyło ducha, serca i dzielności,
Wszystkie chorągwie wzmocnił zaciąg świéży,
I co dzień nowych miewaliśmy gości;
Bo młody Książę, jeździec zawołany,
Lubił i harce i rycérskie sprawy;
A więc z wojskową służbą na przemiany,
Szły karuzele i wiejskie zabawy…
Często i Panie obóz odwiedzały,
A nawet bale i tańce bywały.

Wszystko zaś było takie przyzwoite,
I wesołością taką ożywione,
Takie dostojne, takie wyśmienite,
Że nawet Mohort czoło namarszczone
Na chwilę czasem jeszcze rozweselił,
I z młodą wiarą zabawę podzielił.

Kogoż nie zbiedzi, i kogoż nie znudzi
Na Ukrainie ta rozkal wiosenna?
Lecz co za roskosz, gdy się ziemia senna
Po długiéj nocy znowu ze snu budzi!
W ów czas się wiosna do razu już robi,
Bo to zaledwo że się śniég roztopił,
A tu wiatr ciepły i dészczyk przekropił,
I już zielono — i ziemia się zdobi
W trawy i kwiaty — zwierz opuszcza nory,
A w pole wabi nadzieja i praca,
Step się uśmiécha, i kwitną futory,
I co dzień nowe ptastwo do gniazd wraca.

W taki to ranek zawezwał o świcie
Książę do siebie cały kwiat młodzieży,
Chcąc sią wykąpać w stepowym błękicie,
I znów przehulać konie co najszczérzéj.
Co to tam było serca i ochoty,
I co konceptów! co dzielnéj pustoty!
Przez parę godzin, nie pilnując drogi,
Niosły nas konie w nieznane rozłogi;
A choć do koła był tylko step goły,
Przecież tak piękny był świat i wesoły,
Jakby go Pan Bóg dopiéro był stworzył,
I młodą duszę ku niemu otworzył.

Słońce już było podbiegło wysoko,
Gdyśmy stanęli nad debrą széroką.

„Nie źle się składa! — rzekł Starszy krésowy, —
Bo to jak widzę futor Mohortowy!“

„A to wybornie! — rzekł wesoło Książę,
To i odwidzim dziś starego ćwika!
Puśćcie mnie naprzód, niechaj piérwszy zdążę
Po służbie witać mego Porucznika!“

I sam się spuścił najpierwczy do jaru;
Jar był széroki i pięknie obrosły,
Jak uroczysko, niby pełen czaru —
Drzewina kwitła, dąb strzélał wyniosły,
A na dnie jaru jeszcze z nocnéj rosy
Trawy nietknięte, — w dali jakieś skały,
Nad nami w krzewach leśnych ptasząt głosy,
A żywe wody pod nami zagrały....

Święty Onufry, z brodą za kolana,
Klęczał w pustyńce śród małéj pieczary,
A wnijście do niéj brzost ocieniał stary,
A u stóp jego krynica rozlana,
Żywym do jaru upływała zdrojem —
I jar oddychał uroczym pokojem,
I wonne jego owiały nas chłody —
A niżéj nieco, zbiérały się wody

W stawku niewielkim, i turkotał młynek;
Daléj pasieka pośrodku kalinek,
A jeszcze daléj lasek czeremchowy,
A w nim rozpięty namiot Mohortowy.

Ognisko z nocy jeszcze nie wygasło,
A przed namiotem wiała chorągiewka,
Kilka się koni niżéj młyna pasło,
I jakaś smutna ukraińska śpiéwka
Płynęła jarem —

Wstrzymaliśmy konie,
Patrząc do koła urokiem zaklęci:
Takie to cudne było to ustronie!

„W takich to jarach żyli Pańscy Święci!“
Rzekł stary Kozak — skoczył do krynicy,
Z czcią się przeżegnał w pustyńce uroczéj,
Czerpnął ze zdroju, i przemywszy oczy
Wyniósł dla Księcia wody w ładownicy.

„Na zdrowie, szczęście, na wiek i urodę,
Niechaj Wam będzie! a pijcie tę wodę,
Bo takiéj wody ani w naszym kraju,
Ani nie dostać nawet i z Dunaju!

A kto na Jura tak do gwiazdy wstanie,
Że raniéj oczy od ptaszka obmyje,
I piérwéj zdroju od niego dostanie,
I niezmąconéj wody się napije,
Temu na życie stanie prawdy w głosie,
I będzie patrzał czysto jak po rosie!“

W istocie była to wyborna woda!
Raczéj dla duszy niż ciała ochłoda,
I każdy rad téż był wytchnąć po znoju,
I przemyć oczy i przejrzéć się w zdroju,
I ładownicą zaczerpnąć z krynicy,
Którą za świętą czczono w okolicy.

Ale już z łąki i konie zarżały,
I psy się głośno od młyna ozwały.
„Na koń! rzekł Książę — tam widzę ktoś orze?
Ba to sam Mohort! i puścił się przodem —
— Daj Boże szczęście! — a Mohort: „szczęść Boże!
Co widzę, Książę? i z takim narodem?
Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!
A czy od szlaku droga czy z Budziaku,
Z czego człek powstał, o tém myśléć trzeba,
Ani Hetmanom bez Boga i chleba!
Gdy Bóg dał gości, to puść w łąkę woły,
Niech i im będzie dzisiaj dzień wesoły...“

Chłopak posłuchał — pług został na roli,
A Mohort przeszedł po niéj się powoli,
Z kraju basztanu, na piérwszym zagonie,
Stała po starym zwyczaju zatknięta
Szabla — bo orzeł w rycérskiéj koronie,
A ziemia szablą broniona jest święta,
A pług miał miejsce i przy Piastów tronie.

Mohort wziął szablę i wąsów poprawił,
I jak po służbie przed Księciem się stawił:
„Porucznik Mohort, na krésach stojący,
A Waszą miłość wielce miłujący!“
Książę go ścisnął, a on do komendy:
„Do woli z konia! Towarzyszom wszędy
Wolno się bawić — a konie w ordynek!
Pachołki z końmi staną tam pod płotem,
Siedmiu na wartę, po dwóch przed namiotem,
Na krótkie straże — reszta na spoczynek!“

— Otóż to lubię! — rzekł wesoło Książę —
Gdy jest komenda, to i dobrze będzie!
A Mohort na to: „jakoś to się zwiąże,
Niech tylko Książę z konia już zesiędzie.“

I nie ubiegła może i godzina,
A już podano śniadanie ze młyna,

Na prędce zbito z kilku tarcic stoły,
A z drugich kilku ławy przyrządzono,
Wiarus kucharzył z młynarką na poły,
I obozową ucztę zastawiono.
Barszcz był wyborny, a baran był z rożna,
I jajecznica, a arcy-wielmożna,
Bo przystrojona wieńcami kiełbasy,
A był do tego i podpłomyk świéży,
Kubek gorzałki, i kufelek miodu,...
Sztuciec i łyżkę — jeszcze w owe czasy
Miał każdy z sobą zwyczajem żołnierzy;
A więc nie było kłopotu ni głodu.

Po tém śniadaniu Mohort pchnął cichaczem
Kilku posłańców i pachołków konnych
Do monastéru, by nie brakło na czém,
I w zaprosiny do dworów postronnych.
I rzekł do Księcia — „Ha wprawdzie pospołu
Nie zjadłem z Księciem jeszcze beczki soli,
Lecz jeźli łaska, zjemy razem wołu,
I beczkę miodu wypijem powoli!“

W koło namiotu tok był wystrugany,
I jaworowym liściem usypany,
I sam ksiądz Rektor jeszcze przed wieczorem
Przybył z zapasem i klasztornym dworem,

Z miodem, i ze mszą, i przywiózł specyały,
I ów turecki namiot okazały.

Nazajutrz z rana już Marszałek Księcia
Nadciągnął z kuchnią i całym taborem,
I było więcéj co chwila zajęcia,
Bo nawet Panie przybyły wieczorem...
I do stu osób siadało do stoła,
I trzy dni trwała gościna wesoła.

Sam dziś już z tego nie umiem zdać sprawy,
Jak można było w stepowym futorze
Wyprawiać takie uczty i zabawy,
I podejmować jak na pańskim dworze,
Z taką łatwością piérwszych ludzi kraju:
Że nikt się z gości, ni skrzywił, ni pieścił,
Że się gdzieś każdy niezgorzéj pomieścił.
Jak się to działo? — nie wiem — lecz się zdaje,
Że cały sekret leży w obyczaju.

Szlachetne były proste obyczaje,
A szlachetnemu nic nie bywa krzywe,
A prostéj duszy wszystko jest poczciwe;
Więc téż umiano wszystkiego tam użyć,
A jak rozumiem, umiano i służyć.

Człowiek był wszystkiem, reszta wszystko niczém,
Ztąd gdy w świat patrzał poczciwém obliczem,
Podnosił wszystko w górę do téj miary,
Szlachetnéj duszy i do dobréj wiary,
Jaką się w życiu i w sumieniu rządził,
I nią téż ludzi i wypadki sądził....

Gdy się bawiono, każdy chciał zabawy,
Więc się nią zajął, i nikt się nie nudził.
A że obyczaj dawał wiele wprawy,
Ztąd téż zabawą nikt się nie utrudził,
Ale umiano zająć każdą chwilę,
I każdą rzeczą zatrudzić się mile;
Jedno ukochać, a drugie wysławić,
Ot krótko mówiąc: umiano się bawić.
A więc gdzie padło, w pałacu czy w borze,
Wszystko szło gładko — więc i na futorze;
Z obecnych gości nikt nie myślał o tém
Żeby być mogło lepiéj lub inaczéj,
Gdy każdy kontent, a gospodarz raczy.

Książę i Mohort stali pod namiotem,
I tu straż stała, bo to swoją drogą
Szła służba służbą — Marszałek załogą
Stanął we młynie z całym Księcia dworem;
Wszyscy Panowie pod szopą taborem;

Rektor z piwnicą mieścił się w stebniku,
Licząc gąsiory i butle w kąciku;
A wszystkie Panie sypiały pokotem
Pod owym sławnym tureckim namiotem,
Co był pod Wiédniem niegdyś jeszcze wzięty,
A w kalinowym lasku dziś rozpięty.

Więc Książę Józef, jak gospodarz drugi,
Sam się Marszałkiem dworu Pań mianował,
Cały oddany Damom na usługi,
Wszystkiem tak zręcznie w chwili pokierował,
Że były rade i pełne wdzięczności:
„Bo gotowalnia cała do Jejmości.

Sam zaś gospodarz choć miał oko wszędzie,
Tylko Panami znowu się zajmował,
Bo wiedział z resztą że głodu nie będzie,
Wiedział że woły i skopy podchował,
Że tu jest woda, tam ogień we młynie,
Że sam ksiądz Rektor pomyślał o winie...
A więc już resztę zdał na drugich wolę,
I tylko bawił ciągle w męzkiém kole.

Jakoż i słusznie, bo gdzie Książę bawi,
Tam i Marszałek i kucharz się sprawi;

A gdzie są Panie, tam i panny dworkie,
Więc i wykwintnie koncepta zamorskie,
Bo dworska panna jak konceptem ruszy,
I do skarbnicy swych sekretów sięgnie,
To wiarusowi tak dogrzeje w duszy,
Że nawet djabła do roboty wprzęgnie.

Więc téż przy każdéj zwijał się pałasik,
I każda miała piorunem szałasik,
Pod ręką ogień i wodę i służbę,
I wystruganą ścieżkę do namiotu,
I w pogotowiu posłańca do lotu,
I powolnego w każdéj chwili drużbę;
Więc były rade i pełne grzeczności,
Bo gotowalnia cała do Jejmości.

Z rana msza święta codziennie bywała
W owéj pustyńce u świętego zdroju,
A że to wiara do świtu wstawała,
Więc tu się każdy pomodlił w pokoju,
A do mszy świętéj sam Pan Mohort służył;
I kiedy po mszy pogodę powróżył,
Już przed namiotem zbiérały się Panie,
A Pan Marszałek zarządzał śniadanie;
A potém na koń, i daléj na pole.
Były i Panie co jeździły konno;

A gdy Kafarek wypuścił sokole,
To nawet łabędź nie wyszedł obronno,
Jeźli dosiedział w stepowém jeziorku,
A drobnéj ptaszki co niemiara w worku.
Po takich łowach bywał obiad w lasku,
A już wieczorem przy kagańców blasku,
Sukno przed namiot, a na wóz trębacze,
I taka radość że aż serce skacze;
Więc pełném sercem, co się komu godzi,
Za kielich starsi, a do tańca młodzi.

Rej tam wodziła Pani Pupardowa,
Prześliczna, młoda, pełna wdzięku cała,
Kamińska z domu, żona Jenerała,
Który nie umiał po polsku i słowa,
I w owe czasy brygadą dowodził,
Gdy cudzoziemski autorament wchodził.

Jeździła konno gdyby Amazonka,
A w tańcu Gracya, że tylko malować,
I kuć piękności każdego jéj członka;
Grzeczność okazać, wdzięk umiała chować,
A przy tém skromna i sercem wyniosła,
Jak gdyby wcale na królową wzrosła,
Chociaż Pan Pupard był brzydki i stary;
Więc Książę co miał do Pań słabość wielką,

Ale zarazem dla cnoty cześć wszelką,
Palił tu wdziękom i cnocie ofiary.

Po takim balu, gdzie jasno pod niebem
Świéciły gwiazdy, a dołem kagańce,
Pan Mohort innym obdzielił nas chlebem,
Gdy nas nazajutrz wywiódł w step na tańce:
Bo tu i popis i szkoła nie lada,
Gdy nam podpędzić kazał swoje stada;
Dwa były stada — jedno zwał hetmańskiém,
W niém rosłe konie polskiego zawodu,
Drugie nazywał zazwyczaj sułtańskiém,
To już drobniejsze lecz wielkiego rodu.

Kiedyśmy stada objeżdżali w koło,
Zawołał ku nam Pan Mohort wesoło:
„No tu jest arkan, więc panowie młodzi,
Kto chce mieć konia, niechaj arkan rzuci,
I weźmie konia co w tabunie chodzi,
I niech na obiad do nas na nim wróci!“

Więc jaki taki w rzemiośle nieznaném,
Probował szczęścia i rzucał arkanem,
Ale daremnie —

„Hej! hej! szczęście nasze,
Że dziś z Tatarem nie wojuje Lasze."
Zawołał w końcu, gdy spłoszone konie
Już się poczęły rozbiegać po stronie;
Lecz gdy po chwili rozsypane z rzadka
Stanęły znowu — rzekł: — „Oto jest matka!
Ta klacz wilczata, co tutaj na przedzie,
I ona wiecznie całe stado wiedzie;
Dziśby zginęła wzięta z tego stada,
I żadna matka tak już nie przepada
Za swojém dzieckiem, jak za końmi ona,
I jako lwica, tak nieustraszona.
To postrach wilków, i chociaż już starka,
Utłucze wilków więcéj od Kafarka...
A tu ta druga z małą strzałką, gniada,
To już ostatki Wiśniowieckich stada,
Krew arcy-pańska! tego rodu koni
Łapać na arkan ni ujeżdżać trzeba,
Bo same z młodu przychodzą do dłoni;
Gdy je chcesz użyć, podaj z solą chleba,
Ogłaszcz, oklepaj, i załóż wędzidło,
Siądź i jedź światem, byleby nie zrywać.
U każdéj nogi u nich orle skrzydło,
Lecz się tych skrzydeł nie godzi używać,
Chyba już tylko w potrzebie ostatniéj,
Kiedy ma wyrwać ze śmiertelnéj matni;
U mnie jak dzieci na ręku się rodzą,
I za człowiekiem niewiązane chodzą.

Oto jéj córka, zwie się Korybutka,
Jak na rzut oka niby trochę krótka,
Ale jak nie ma krótkiego pałasza,
Bo jeźli krótki, to pomknij się bliżéj,
Tak kiedy trzeba, ni dłużéj, ni chyżéj
Sumak nie skóczy, jak ta perła nasza.
Przed kilku laty zginęła ze stada,
A po trzech latach sama wraca rada,
Lecz sądzisz Książę że do koni może?
Nie! mnie starego szuka na futorze,
I rży, i lata, że aż ziemia dudni;
Poznałem rżenie, wychodzę z namiotu,
A ona do mnie, i aż drży od lotu;
Więc ogłaskałem i wziąłem do studni;
Ktoś jéj dopiéro jednę okuł nogę,
Więc rozkuć zaraz kazałem niebogę;
A potém sobie przed namiotem legła,
Jakby się sama obcéj ręki strzegła.

A to Giżycka co chodzi po stronie,
Jacy Giżyccy, takie ich i konie,
Czém starsze, tęższe — a pewne po ćmaku,
Ztąd nie ma równych do stepu i szlaku.

A to już sławny jest ród sahajdaczny,
Biały jak mléko, ale skóra czarna,

Hardy, i twardy, i z razu opaczny;
Ale jak ręka uchodzi go karna,
Całemu wojsku za przednią straż stoi;
Ktoby uciekał na nim, nie ujedzie;
Lecz się nie lęka ni ognia, ni zbroi,
I kto naciéra, ten będzie na przedzie;
Daleko widzi i słyszy na milę,
A daléj jeszcze wietrzy i przeczuwa;
Nigdy nie legnie, chyba przy mogile,
I inni kłusem, gdy on stępem suwa;
Kędy raz przejdzie, nie zmyli już drogi,
Sam na sam hardy, lecz przyjaciel duszny,
I jako ręka człeku jest posłuszny,
Kiedy już przyjdzie do okazyi srogiéj.
W tém spytał Książę — „A to co za hetki?“
Gdy troje koni myszatych pomkneło;
Na to rzekł Mohort — „To inwentarz letki,
Ot i sam nie wiem zkąd się w stadzie wzięło.

Odkąd ma dusza końskiéj maci rada,
Zawsze się myszka przybije do stada,
I jakaś niby napaść oczywista!
Nie lubię myszki, bo maść narowista.
Ale ksiądz Rektor myszki tylko chowa,
Bo grubo-płaskie — więc i trudna rada.
Dawnim odganiał tę hańbę od stada,
Lecz teraz trudno powiedziéć i słowa:

Gdy klasztorowi myszka tak na czasie,
To niechaj sobie i ta sierść się pasie.
A jeźli gorszy Księcia to myszate,
Jakże się wyda izabelowate,
Co tam spokojnie po stronie się wlecze?
Cóż Mości Książę o téj klaczy rzecze?
To moja Iskra — „Kahorlicka córa,“
Z stada Tarnowskich, z bachmatów hetmańskich,
Nie sierść lecz jedwab — pargamin nie skóra,
Zdatna do harców tylko arcy-pańskich.
Ktoby chciał wiedziéć jaka cnota w rodzie,
Niech ją użyje w rycérskiéj przygodzie;
Dopóki młode, ma to krowie nogi,
Podobne osłu — coś późniéj do muła;
Rok siódmy, ósmy dodaje ostrogi,
I więź i oko i zagra krew czuła;
A gdy chrzęst broni i trąbkę usłyszy,
Rozdziera nozdrza i aż drży, aż dyszy,
I czuć wyraźnie aż w sercu przez siodło,
Kto téj krwi panem i co w bój go wiodło.

Po Izabelce, nie ma już w tém stadzie
Jak ta tu z grubą hreczką co na zadzie,
To ród sułtański dalekiego wschodu,
Gdzie struś w pustyni gniazdo swoje kładzie;
Więc orle piórko nie wychodzi z rodu.
Wielkie na koniu Bóg położył znaki,

Jednak i wicher bywa nie jednaki;
Poniżéj oczu podły wicher wszelki,
Powyżéj oka wielkiego przymiotu,
Bo rozum znaczny — na szyi znak lotu,
A już na piersi znak odwagi wielkiéj;
I koń o jednym wichrze to już dobry,
O dwóch, ma narów — ale znowu taki
Coby miał razem trzy niebieskie znaki,
To już i mądry, i lotny, i chrobry;
I wielką łaskę ma u Pana Boga,
Komu do boju padnie na nim droga,
Bo nie da dotknąć jeźdzca; gdy na przedzie,
Wszystkich wybiega; gdy wyciągnie szyję,
Nie ma co rąbać, bo piersią rozbije;
A jak wnijść umiał, tak samo wywiedzie.
Nie darmo w świecie to pustynia słynie:
Póki w ojczyznie jeszcze nie zaginie
Koń do pęciny od łba żyłkowany,
Póty i rycérz będzie jeszcze znany.

Ten brudny kasztan, co tam jeden chodzi,
To syn Sułtanki, a koń pod Hetmana,
Trzy orle piórka i tam gdzie się godzi,
I biała nóżka do tego sudanna,
Więc nic lepszego!“
I krzyknął: „Arkana!!..
To koń dla Księcia, bo to wichrów czoło!“
Skoczyli ludzie — czychają w około,

Wzrok się zapalił Panu Mohortowi,
Zebrawszy arkan podjechał z nienacka,
I jak pierścionek tak go rzucił z gracka;
A gdy padł prosto na szyję koniowi,
Kiedy koń ruszył, Mohort arkan ima,
Wziął go o kulę, pod nogę, i trzyma!
I jękła ziemia, i przypadli ludzie,
A w mgnieniu oka i koń się powalił,
Że się z nas każdy nad nim aż użalił;
Ale tabuńczyk po niedługim trudzie,
Już go ochełznał, i tak się uwinął,
Że siadł na niego i z oczu nam zginął.

Długo Pan Mohort patrzył za nim w pola,
I rzekł nareszcie — „I to Boża wola,
I pójdzie ręką, gdy się tak prowadzi,
Bo poszedł równo, a jak strzała sadzi.“

A gdy wysoko Książę ten dar ważył,
Taki był kontent, że już dnia owego
Nie tylko starszych lecz i z nas każdego
Koniem ze stada swojego obdarzył.

Nazajutrz Książę tylko Damy bawił,
I niewidziany karuzel wyprawił.

Sliczna to była gonitwa i wprawa,
A co się zowie rycérska zabawa.
W pierścień toczono, a tureckie głowy
Padały w koło od strzału i cięcia.
„Śliczna zabawa, nie ma ani mowy,“
Rzekł nawet Mohort pod koniec do Księcia.
I tak się bardzo dnia tego rozbawił,
Że podwieczorek w pasiece wyprawił,
Choć tam nikogo nigdy nie prowadził,
I z cicha tylko z pasiecznikiem radził.
Tu już świat inny:

Bujna w stepach pszczoła,
Pni przeszło tysiąc stało do okoła . . .
Kilka grusz starych chyliło się w środku,
A oddech kwiatów i smołki czy miodku
Napełniał wonią całą okolicę;
Z pola wracały ciche pracownice,
I całe grono ucichło na chwilę
Oczarowane tą wonią tak mile.
A Mohort rzecze: „Dziwić się nie trzeba
Tutaj niczemu, bo to dary nieba,
Któremi Pan Bóg ziemię z niebem brata;
Jest to jak mówią: Gratia gratis data.

Sławna to, sławna Mości Książę pszczoła,
I jest tradycya, co krąży do koła

Po stepach Bohu, i po stepach Rosi,
Z którą się Naród po pasiekach nosi.

Był Mości Książę Hetman od Różańca,
Wielkiego herbu, potężnéj buławy,
I jasnéj cnoty i szérokiéj sławy,
Co od chłopięcia chodził z wrogiem tańca,
Co z hełmu jadał, a sławy przysporzył,
Z turzego rogu w czasie uczty pijał,
Co Naród kochał, co królowi sprzyjał,
A za ojczyznę siwą głowę złożył;
„Stróżem Podola“ nazwał go lud cały,
Gdy legł — to śmiercią, uszył on Koronie
Czarną sukienkę — i po jego zgonie
Dziéwki na Rusi tańców zaniechały.

Otóż to o nim powieść stara chodzi:
Że raz gdy wojsko na stepach postawił,
Chcąc dotrzéć twardo — czy liczny wróg godzi,
Sam na podsłuchy pod noc się wyprawił,
I z jednym tylko giermkiem ważył życie,
A całą ordę do koła objechał,
I do obozu powracał o świcie,
Kończąc pacierze — i rad się uśmiéchał.

Starsi czekali powrotu pańskiego;
Lecz choć im nie dał rozkazu żadnego,

Nikt się z czeladzi nawet nie zatrwożył,
Widząc że Hetman przespać się położył.

Usnął — a giermek wnijście od namiotu
Zasuł oponą — a choć nikt nie cichał,
Tak cicho było jakby człek nie dychał,
Że jak ptak leciał toś dosłyszał lotu.

Było to w lipcu, właśnie pod czas roju,
Słońce podbiegło i stało wysoko,
Kiedy Pan Hetman przetarł ze snu oko,
Tak twardo usnął po rycérskim znoju,
I byłby jeszcze spał, bo się utrudził,
Ale brzęk roju, co minął w polocie
Cały nasz obóz, ze snu go obudził,
Bo opadł prawie na pańskim namiocie.

„Gdzie to już słońce! a co powie włodarz?
— Rzecze Pan Hetman — zły ze mnie gospodarz
Gdy mnie rój budzi. Czas poprawić cnoty:
Zagiął rękawy, i pełen ochoty,
Niby pasiecznik, wziął się do roboty;
I zgarnął muchę, i z lekka podkadził,
I w braku ula w pancerzu osadził,
I dziewięć było szyszaków téj muchy;

I wszystek Naród nabrał ztąd otuchy,
Że Bóg rój spuścił na namiot Hetmana,
Że żadne żądło nie dotknęło Pana.
Jakoż Bóg szczęścił, i była wygrana.

Choć bez pancerza, Hetman wroga pobił!
Aż gdy w też miejsca znowu wojsko sprawił,
Stał ul żelazny tak jak go postawił,
A rój był pięknie już głowę zarobił,

„Więc dobra wróżba! — Pan Hetman powiada, —
Niechże dar Boży w stepie nie przepada.“
I kazał naprzód cały jar poświęcić,
A potém czeladź do pracy zachęcić.
Usypał groblę, i stawek wyprawił,
I ściągnął ludzi, i młynek postawił,
Ogrodził futor, i okopał wałem,
Opatrzył bydłem; ot i owo zgoła
Odsypał kopce na stepie do koła.
Spisał przywiléj, i z dobytkiem całym
Oddał na własność rycérskiemu człeku,
Co się był dobrze ojczyznie zasłużył,
By w tym futorze dokonał już wieku,
I zdał go w ów czas dopiero potomnie,
Gdy już nie będzie więcéj granic stróżył —
Tak to się dostał w końcu futor do mnie.

W tém samém miejscu, gdzie onego czasu
Stał ul żelazny, dziś się pszczoła roi,
W tém samém miejscu, gdzie mój namiot stoi,
Stał i hetmański namiot pośród lasu:
I w téj pustyńce od owéj pamięci
Święty Onufry błogosławi wodzie,
I co rok woda w tym zdroju się święci,
I słynie odtąd łaskami w Narodzie.
„Żelaznym ulem“ jest ten futor zwany,
A ów ul sławny — jak to każdy powie —
U Karmelitów był jeszcze chowany,
Za czasów króla Jana w Berdyczowie;
Król Jan dopiéro zabrał ten ul z sobą,
I w pańskiéj Żółkwi był skarbca ozdobą.
A wszystkie sławne pasieki do koła,
Z tego to roju poszły po futorach,
I po słobodach, i po pańskich dworach;
A wielką sławę ma — „hetmańska pszczoła.“

Nigdy nie spadnie, jak inne pasieki,
Lecz w łasce Bożéj przetrwa na wiek wieki,
Byleby tylko człek nie był zachłanny
Co je choduje — a początek wzięty
Był z trzech pni tylko — na cześć Trójcy Świętéj,
A światło dane do Najświętszéj Panny;
To się i wiedzie, i jest i pożytek,
Więcéj niż potrzeb i prawie nad zbytek,

I na przednowek i sobie i komu,
I dla kościoła i ludzi i domu.“

W ciszy słuchało starca całe grono,
I żadne słowo w kole nie przepadło . . .
A w tém i słońce za dąbrową siadło,
I przed namiotem zorzę otrąbiono,
I niebo zwolna już ku gwiazdom bladło.

Z dala się ozwał głos przeciągły, cichy,
I biegł po rosie cudownym urokiem,
Daléj chór cały — czasem jakieś śmiéchy:
To ludzie z pola powracali mrokiem.

Książę co nie znał jeszcze Ukrainy,
Spytał Mohorta: „Czemuż nócą smutno?“ —
A Mohort na to: „Smutne zwykle syny,
Kędy ojcowie wiek przeżyli butno!
Smutne to pieśni, a smutne bo stare,
Bo jako zmory żyją w ludzie całym;
A stara piosnka albo jest kordyałem,
Lub stanie sercu na wieki za karę.
Znam ja te pieśni, co po mroku płyną!“
I tu głos jego złączył się z drużyną:
„Kto na Krymu ne buwau,
Perekopu ne wydau! —“

IV.

Tyle to zdrowia, ah i szczęścia tyle,
Co dadzą człeku ranne życia chwile!
I takie były te ostatnie czasy
Na Ukrainie, méj wojskowéj służby,
Zanim na niebie znaki lichéj wróżby
Zapowiedziały ostatnie zapasy . . .

Rzecz niepojęta — lecz wielkie wypadki
Poprzedza zawsze Narodu przeczucie.
Jak śród tysiąca rozeznasz głos matki,
Jako treść pieśni poznasz po jéj nócie,
Tak po przeczuciu poznasz co cię czeka,
I że stanowcza chwila niedaleka.

Głuche powieści obiegały w tłumie,
Które pojmować rozum ledwo umié,

A gdy je zwolna nie jeden duch badał,
Dziwny niepokój umysły owładał:
Bo straszne jakieś dochodziły słuchy,
Że się w mogiłach niepokoją duchy,
Że w węgłach domów coś strzéla i brzęczy,
Że nawet ziemia w czystym stepie jęczy,
Że krew w krynicznéj wodzie nawet bywa,
Że się w kościołach zapadają groby,
Że chodzą z dawna umarłe osoby,
A pies się w nocy jak szalony zrywa.

Jakiś koń dziki, co żywą krwią pryskał
We dnie — a w nocy żarem z nozdrzy ciskał,
Obiegał stada jak zwiastun złowrogi . . .
A nie raz nawet i w chorągwi naszéj
Tak razem we śnie coś wszystkich przestraszy,
Że koń i człowiek zrywa się na nogi.
A więc do straży! a straż stoi blada,
I od przestrachu ledwo mową włada,
I klnie się Bogiem, że jasność niezmierna
Oblała ziemię, jak ziemia obszérna,
A na niebiosach zeszła niebios Pani,
Że ziemia pękła, a z wielkiéj otchłani
Wyszły na sam przód ogniste języki,
A w ślad ich zbrojnych wojowników szyki.

Ot krótko mówiąc: coś strasznie się plotło,
I nocą groził kometa swą miotłą,

A kiedy zmory rozpędziło słońce,
Lecieli drogą do obozu gońce,
I to rozkazy nowe ze stolicy,
To nowe wieści biegły z okolicy ...

Każdy to widział że przyjdzie do wojny,
Z któréj nie łatwo będzie nam wyjść cało;
Lecz czém na większą burzę się zbiérało,
Tém więcéj bywał Pan Mohort spokojny.

Pozór wojenny przybrał obóz cały,
I młody żołnierz nabiérał postawy,
Bo co dzień nowe wieści obiegały,
Że całe wojsko ruszy do Warszawy.
Krésy ściągnięto — piechotne komendy
I artylerya stała pod Bracławiem;
A więc się znaczył i nam marsz tamtędy,
I każdy wiedział że krótko zabawiem,
I że z Bracławia ruszym prosto w pole.

Książę Mohorta mianował Oboźnym,
I niby Hetman we dnie okiem groźném
Po okolicy i po wojsku wodził,
A jak duch nocą po obozie chodził.

Ja byłem w ow czas dany mu do boku,
I wierny świadek każdego już kroku,
Bo i sypiałem i jadałem razem,
I nic z tych czasów nie puściłem płazem.

Dni już ostatnich przed naszym pochodem,
Wstał był Pan Mohort swym zwyczajem rano,
Ale miał wielce twarz zafrasowaną;
A gdym o powód spytał mimochodem,
Rzekł mi: — „Pan Hetman śnił mi się nad ranem.
Hetman — śmierć pewna rycérskiemu człeku;
Ha, czas ze świata, bo téż już i z wieku.
A jak na jawie mówiłem z Hetmanem,
I oczywiście że mnie sam nawiedził —
Więc już nie długo będę się tu biedził;
I nie stąd pełen jest mój duch frasunku,
Ale że może potrzebny ratunku...

Uczułem zimno gdy mnie tknął buławą,
Gdy mi pokłonił i dał rękę prawą...
„Hetman, śmierć pewna — i nie ujdzie płazem;
Więc czas się przybrać i pojednać z Bogiem,
Bo sen poranny, to śmierć już za progiem;
Do monastéru pojedziem dziś razem.“

I gdy do stajni wstąpiliśmy oba,
Tylko Mohorta leżał koń u żłoba.

A więc podumał — „I on się gotuje;
Patrz Wasze, zgadłem, i kon drogę czuje....“

I gdy pachołek konie pokulbaczył,
Na przełaj stepem ruszyliśmy oba,
Ale Pan Mohort przemówić nie raczył,
Tak czarna serce zjęła mu żałoba:
I tylko milcząc w świat poglądał czasem,
Lub wstrzymał trochę konia przy mogile,
Albo zsiadł z konia i wytchnął na chwilę,
Gdyśmy stanęli pod strażniczym lasem.

Kiedy nareszcie błysnął nam z daleka
Krzyż monastéru, śród świętego gaju,
Rzekł: — „Czy wiesz Wasze co tu Waści czeka?
Będziesz za świadka — po starym zwyczaju;
Trzeba zakończyć poczciwie i ładnie,
Jak Bóg przykazał, to ziemskie kaléctwo;
Więc baczność, pamięć Waści mieć wypadnie,
Bo może przyjdzie kiedyś dać świadectwo.“

I jakoż ledwo że stanął w klasztorze,
Kazał przywołać z monastéru dziada,
I Łukowskiego bliskiego sąsiada,
Co od pół wieka siedział na futorze,

I razem poszli do lochów cerkiewnych.
I szmer się rozszedł — że Mohort te kraje
Pewno już rzuci, kiedy skarby zdaje,
Gdy wziął do lochów takich ludzi pewnych.

Mnie kazał spisać wszystko co miał w celi,
A własną ręką dodał już, co komu...
Potém z Łukowskim obaśmy musieli
Stwierdzić kodycyl — a potém do domu
Wyprawił obu — a więc naprzód dziada,
By go nikt z ludzi klasztornych nie badał,
Potém do fórty sprowadził sąsiada,
A ciepłą ręką obom coś powkładał.

Gdyśmy od fórty razem powrócili,
Rzekł mi wesoło po niejakiéj chwili:
„I Waść nie wyjdziesz z rękoma gołemi;
Więc wybierz szablę, która się podoba,
Bo się to nada bardzo czasy temi,
I trzeba będzie z konikiem od żłoba!“
Wybrałem,

Dobra! wiernie w ręku siedzi.
Rzekł mi Pan Mohort: — „a teraz już pono
Czas do jutrzejszéj mieć się nam spowiedzi,
Bo na pacierze właśnie zadzwoniono.“

Cicho upłynął wieczór w naszéj celi,
Lampa mrugała przed świętym obrazem,
Psalmy pokutne mówiliśmy razem,
I dzisiaj jeszcze duszę mą weseli
Piękna pamiątka takiéj chwili świętéj,
Gdzie jego duchem byłem w niebo wzięty.

Cicho noc zeszła — a nazajutrz rano
Mszę miał żałobną za duszę Hetmana
Naprzód ksiądz Rektor — a po mszy żałobnéj
Wyszła wotywa w kaplicy osobnéj;
Pan Mohort ukląkł — odpiął karabelę,
Złożył wraz z czapką na stopniach ołtarza,
A sam padł krzyżem że aż w grobach jękło.
Choć dzień powszedni, ludzi było wiele,
A wszystkim serce tak od płaczu miękło,
Że nawet kapłan — co się rzadko zdarza —
Gdy się do ludzi zwrócił od ołtarza,
Łzami się zalał.

W końcu po wotywie,
I księża poszli, i lud się rozbieżał,
A Mohort ciągle krzyżem jeszcze leżał.
Widząc to Rektor, skinął niecierpliwie
Na mnie, i bliższych dwóch cerkiewnych braci,
I gdyśmy starca dźwignęli z podłogi,

Widoczne było że przytomność traci,
Bo mu już ledwo statkowały nogi.

Rektor wziął szablę ze stopni ołtarza,
Nasadził czapkę Panu Mohortowi,
I kazał z sobą iść do refektarza;
Tam podał winną polewkę starcowi,
I otarł pulsa, i skronie, i czoło . . .
A gdy Pan Mohort spojrzał znów wesoło
Po refektarzu — kiedy nam dziękował,
Rektor w refleksye:

„A Panie Szymonie!
Za cóż tak bardzo duch się upracował?
Wszak Waść najstarszy w Litwie i w Koronie,
I cały żywot za pokutę stanie;
A wszakże mówim i to dnia każdego
Modląc się Panu: — Od nieporządnego
W nieszczęściach smutku, zachowaj nas Panie!
A i Psalm mówi: — Nie usprawiedliwi
Nikt się przed Panem z tych co jedno żywi!
Co to tam myśléć, Panie Poruczniku!
Po co tu, po co kusić Panem Bogiem,
Czasby odpocząć już w swoim kąciku,
I z przyjaciołmi zostać za tym progiem.

Zkąd myśl téj wojny — niech wojują młodzi,
A coś przyjaźni i Bogu się godzi.“
Więc Mohort na to: — „A to być nie może,
Jam niepotrzebny człowiek jest w klasztorze,
Bo ja ojczyznie łaski nie uproszę,
Ja Boga chwalę, kiedy szablę noszę.“

Rektor do ręki — „Ja upraszam Pana,“
A Mohort upadł przed nim na kolana:
„Mój Ihumenie! o Boże mój, Boże!
Jegomość płaczesz. Czyż mi łez potrzeba?
Ta, coby po mnie zapłakała może,
Z niéj ni kosteczki — toć na miłość nieba
Zaklinam Waszmość, nie płacz, bo to boli,
O i nie probuj Waszmość mojéj woli
Łzami kapłana, bom człowiek ułomny,
Ale gdy legnę bądź na duszę pomny!“
Rektor go podniósł:
„Nie, Mości Rektorze!
Mnie nie na łożu kończyć i w klasztorze;
Kto czém wojował, niech od tego ginie!
Od krzyża swego nikt się nie wyprosi;
Dla mnie czas wielki — na złe się zanosi....

Przez całe życie prosiłem jedynie
O śmierć szczęśliwą — i wysłuchać raczył
7

Pan mojéj prośby — Hetman mnie nawidził,
Wiem jaki koniec Bóg dla mnie przeznaczył,
I już nie długo będę się tu biedził....“

Widząc ksiądz Rektor, że próżne namowy,
Poczcił nareszcie wolę siwéj głowy,
I do drzwi samych tylko odprowadził;
A w celi Mohort już się w drogę ładził.
Kiedy był gotów, przykląkł przed obrazem,
I jeszcze stoczek u lampy zapalił,
Święconą wodę podał mi u progа,
I rzekł spokojnie: — „Będzie tutaj Boga
Jeszcze i po nas wszelaki duch chwalił;
A teraz bracie wychodźmy już razem,
Dla ciebie piérwsza, mnie ostatnia droga.“

I zamknął celę, klucz za listwę schował,
Zdjął sygnet z palca, drzwi opieczętował,
I poszedł ze mną razem do ogrodu.

Tu stał dąb stary u samego wchodu,
A obok niego kapliczka nad zdrojem...
Mohort podumał i pokiwał głową,
I rzekł do dębu: — Stój mój druhu zdrowo.
A i ty wodo upływaj pokojem;

Ja już ostatni raz tu z wami bawię,
Lecz jak mnie Pan Bóg, ja wam błogosławię.

Gdym tu raz piérwszy stanął — byłem młody,
Lecz po ucisku i ciężkiéj chorobie,
I nie wiedziałem co sam z sobą zrobię;
Lecz gdym się napił z tego źródła wody,
I tu pomodlił w tego drzewa cieniu,
Natchnął Bóg łaską, i w owém natchnieniu,
Na żywot cały znalazłem już radę;
Więc poję konia, i siadam, i jadę.

W tém mi Ihumen zabiegł znagła drogę,
I rzekł z ludzkością: — „Ja puścić nie mogę,
Dom nasz, to stara gospoda rycérzy,
A już i słońce do spoczynku bieży,
To się téż godzi przyjąć tu gospodę,
A już na krésy sam jutro wywiodę. —“
Więc zsiadłem z konia, i w téj saméj celi
Jam się noc piérwszą w ów czas przenocował,
W któréj mnie późniéj tyle lat Bóg chował...
I odtąd tutaj zwyklem się spowiadał,
I tum szlachecki moj depozyt składał.

Dawno przed Bogiem, starzy przyjaciele,
Którzy zaznali tych związków początek,

I przeminęło w świecie rzeczy wiele,
Lecz dla mnie wiecznie pamiętny ten kątek,
Bo tu znalazłem bezpieczną ostoję,
Za którą odtąd dziękowałem co dnia
Bogu, co bierze na Opatrzność swoję
Biédną siérotę, wdowę i przychodnia

I Pan posadził mnie na równéj ziemi
I dał przyjaciół pomiędzy obcymi.

Nigdym do związków w kraju się nie łączył,
Bo światem wichrzyć nie rozumiem cnotą!
I zawszem Boga prosił tylko o to,
Bym tak jak zaczął, przy chorągwi kończył;
Bo wojskowemu służba rzecz najzdrowsza.
Jeszczeć te związki przeciwko obcemu!..
Lecz jak nastała już praktyka nowsza,
Że związek stawał w brew królowi swemu,
To już tę sprawę niech sam Pan Bóg sądzi,
I pono tylko w służbie człek nie zbłądzi!

Raz tylkom w życiu z granicy ustąpił,
Ale nie prze to abym krwi méj skąpił,
Tylko, bom nie chciał przelewać krwi bratniéj;
Kiedy już przyszło do hańby ostatniéj,

Przetrwałem wojnę, związki i napaści,
I głód i dżumę, trzymając się właści;
Ale za krzywdy i za grzéchy stare
Nową Pan zesłał na tę ziemię karę.

W chorągwi ludzi na rożenek prawie,
A tu step kipi czernią zbuntowaną...
I z siwą głową popaść téj niesławie,
By z nożem walczyć szablą poświęcaną,
To dopust ciężki! i na pokuszenie
Nie wodź nas Panie! Krew, to rzecz kosztowna,
A już krew bratnią w wielkiéj Bóg ma cenie.

Stannica była porządnie warowna...
Więc rzekłem krótko towarzystwu memu:
I stać, i czekać, służba po staremu.

Bunt się po kraju rozszérzał tymczasem ...
A w tém ksiądz Rektor znagła znać mi daje,
Że na monastér jakaś czerń nastaje,
I obozuje pod pobliskim lasem!
Za to że przyjaźń dobrą z Lachy chowa,
Ma oddać srébra! — A więc dzięki Bogu,
Że nie w obronie własnéj padnie głowa,
Lecz że ją złożym na święconym progu,

Rzekłem do wiary; i nocy téj saméj
Stanąłem jeszcze u klasztornéj bramy.
Struchlał ksiądz Rektor — bo jużciż sądzono,
Że na monastér idą hajdamaki;
Lecz gdy poznano i ludzi i znaki,
To w mgnieniu oka bramy otworzono.
Nim się dzień zrobił tak się poczt mój sprawił,
Że klasztor w stanie obrony postawił;
Były armatki, moździerze, i prochy,
I dość żywności i niepróżne lochy.

O samym brzasku przybył Pan Łukowski,
Co zebrał szlachtę, i w prędce uzbroił;
A więc tym strojem, przy pomocy Boskiéj,
Poczt nasz do razu prawie się podwoił.

Otóż zatknąłem sztandar w dobréj wierze,
O wschodzie słońca, na owéj wieżycy,
I otrąbiłem pieśń Boga-Rodzicy;
Jako s o d a l i s, rycérskie pacierze
Zmówiłem razem z klasztorną załogą,
I sam na bramie wziąłem stanowisko.

Patrzę — aż jadą jacyś ludzie drogą...
Gdy podjechali już pod mury blisko,

Kazałem spytać czego im potrzeba;
A oni rzekli — „i soli i chleba!“
Więc jakieś posły — kazałem otworzyć,
Zawiązać oczy, i wziąć w fórtkę ciemną;
Z razu się jęli niby trochę trwożyć;
Lecz gdy sam na sam ujrzeli się ze mną,
Nabrali serca, i mówią mi w oczy:
Że się krew lacka po ich nożu toczy,
Że się ksiądz Rektor ma w obozie sprawić,
I wszystko srébro i miody dostawić;
A gdyby w murach znalazł się Lach jaki,
To naprzód oddać ma wojenne znaki,
I z niemi pieszo iść do Atamana;
Inaczéj licho z monasterem będzie,
I nie dostoi już do jutra rana,
Bo hajdamaki wzięli gorę wszędzie.

Rzekłem więc krótko księdzu Rektorowi:
„Kto gospodarzem, niech ten tu stanowi.
Gdyby to miało monastér ocalić,
To ja się mogę z komendą oddalić,
I sam się spotkam z tą czernią na szlaku,
A tu wpaść nie dam, i nie wydam znaku!“

Lecz się ksiądz Rektor nie wahał i chwili.
„Ja miałbym zdradzić? a Święty Bazyli!

Ja głowę oddam, a duszy nie zdradzę,
Siebie i klasztor oddaje pod władzę,
I przy tym znaku, i przed tym obrazem
Brońmy się razem, albo gińmy razem.“

— „Więc dosyć! rzekłem — kiedy taka wola,
To w Imię Pana mojego i Króla,
I Najjaśniejszéj Rzeczypospolitéj,
Któréj znak stoi na téj twierdzy wbity,
Sądem hetmańskim już odtąd stanowię
O bezpieczeństwie załogi, i głowie.“

Więc się już same osądziło bractwo:
Rabunek świątyń, jawne świętokradztwo.
Więc trzech na gardle skarać rozkazałem,
A już czwartego w powrót odesłałem,
Aby poselstwo do czerni odprawił. —
Skoro w obozie na powrót się stawił,
Tysiącem wilków zawył obóz cały;
A potém w niebo tumany się wzbiły,
I przypuszczono do nas atak śmiały,
Do bram klasztornych zbiwszy wszystkie siły.

Ha, jużciż łatwiéj było ich bić w kupie,
Stojąc za murem, gdy oślep lecieli;

Ale nie wiele brakło że nie wzięli
Obronnéj bramy, po swym własnym trupie.

Po trzech atakach porządnie odparci,
Zawyli wściekle, i znikli jak czarci.
Więc trupy naprzód kazałem pochować,
I do obrony nowéj się gotować;
Bo dochodziły nas pono nie bajki,
Że hajdamackie zbiérają się szajki,
I zamyślają na klasztor uderzyć;
Więc wypadało się w czujności dzierżyć.

Jakoż zbliżały się znowu rozruchy,
I podchodziły dziady na podsłuchy,
I z każdą nocą zwiększała się trwoga;
Jednak gdy Pan Bóg chce człeka ocalić,
Nawet poganin umié się użalić
Nad obcą wiarą, i poczci sąd Boga.

Jakieś się wojsko pomknęło po drodze,
Więc do obrony dałem znak załodze;
Wojsko porządne — więc pono nie kruki?
A w tém poznałem tatarskie buńczuki.

Poznałem Murzę, sąsiada po koniu ...
Zatrzymał ludzi opodal na błoniu,

I wysłał posła — więc pono nie zdrada?
Puściłem posła, a on mi powiada:
Że Murza słysząc o opressyi mojéj,
Jak sprzymierzeniec porzucił swę raję,
I w pogotowiu ku odsieczy stoi,
I wojsko w zaciąg Królowi oddaje.

Prawda, żem chował z Murzą przyjaźń starą,
Bo choć poganin kochał spradwiedliwe;
Lecz nie poskromić buntów własną wiarą?
I pogan ściągać na swą własną niwę?
To mi się przecie jakoś nie zdawało ...
Jeźli Bóg zechce, i tak wyjdziem cało!

Podziękowałem tedy za przymierze,
A miałem spory turecki puharek;
Więc pełen złota dałem na podarek,
I konia z rzędem, i szablę sadzoną.
Przyjął to wszystko Murza w dobréj wierze.
A gdy na oścież bramę otworzono,
Samotrzeć tylko podjechał do bramy,
I w odwet złożył sztukę drogiéj lamy,
I sztukę złota za ostrze mi płaci,
Jako jest zwyczaj, nikt szabli nie bierze,
Kiedy się sercem na prawdę już braci.
Więc i jam w takie uwierzył przymierze,

A ksiądz Ihumen rad z téj całéj sprawy,
Dał sto baranów Tatarom odprawy.

Cóż na to mówić? Chłopstwo na swawolę
Szatan rozpasał — a bisurmanowi
Pod czas przygodny dał Bóg taką wolę,
Że nie zwykł dawać lepszéj rycérzowi.

W koło czychały hajdamackie szpiegi...
Kiedy więc Murza przywiódł swe szeregi,
Sądziło bractwo że zawarł przymierze,
I pogranicze pod swój puklerz bierze.
Jakoż — choć Murzę nikt o to nie prosił,
Sojusz z Koroną przez posły ogłosił,
I zajął krésy, i póty stał wiernie,
Aż Bóg poskromił i ukarał czernię.

Nim Pan Stępkowski upacyfikował
Bunt niepotrzebny — jam był już w stannicy;
I po staremu stałem na granicy,
I mą chorągiew tylko Bóg salwował.

Świadkiem tych czasów jeno dąb i źródło:
Lecz dotąd wielbię miłosierdzie Boże

Wdzięcznością w sercu nigdy niewychłódłą,
Że nas nie dało na hańbę i noże!....“

Tu oko starca na krynicę padło,
I długo w źródło patrzał, jak w zwierciadło,
I z biegiem wody poglądał na strugę;
Zdjął sygnet z ręki, i rzekł zadumany:
„Oto mój klejnot od rodzica dany,
I już ostatnią oddał mi posługę,
I wszystko przeszło — jak to źródło bieży,
I cały żywot już za mną dziś leży!....

Ostatni z rodu, komuż go zostawię?
I komuż z duszy tak pobłogosławię,
Jako mnie ojciec niegdyś błogosławił?...

Więc tobie ziemio! ty arko miłości,
Co wiernie trzymasz miłosierdzia klucze!
I tobie dębie! coś w prostéj wielkości
Szmerem swych liści wielkość Pana sławił...
A już ten sygnet niech wiecznie zdrój płócze!...“

I rzucił sygnet w sam środek krynicy,
I łza ostatnia błysła na zrzenicy....

Na Aniół-Pański zadzwoniono z wieży;
Więc kędy w grobach legło koło bratnie,
Udał się jeszcze na modły ostatnie,
I do ostatniéj zasiadł już wieczerzy....

Modlitwą zaczął, i modlitwą skończył,
Ostatek miodu w puhary wysączył,
I powstał nagle — „To już do strzemienia!“
I podniósł oczy — „Tam, do zobaczenia!“

A potém burkę zarzucił na kurtę,
I krzyknął nagle: — „Hej! konia przed fórtę!“
I jednym rzutem wsunął się na siodło,
Jakby go bardzo coś w sercu ubodło.

„Bądźcie tu zdrowi, i ostajcie z Bogiem!
Już ja nie stanę więcéj za tym progiem!“

I ścisnął konia, i kopnął się cwałem,
Że się dopiéro za bramą zrównałem.

V.

Śliczny był wieczór, cichy i pogodny,
I miesiąc zeszedł, i stepy oświécał,
Konie szły raźno, pośród nocy chłodnéj,
Czasem się w polach ogień gdzieś rozniecał;
Czasem w przelocie ozwały się ptaki...
A Mohort drogę prostował na szlaki,
I milcząc jechał, patrząc w twarz miesiąca,
Aż w końcu słowa wycisła tęsknota:

„Ostatni świadek mojego żywota,
A jeszcze wiernie świéci mi do końca! —
Gdzież to te czasy? gdzie w nieznane progi
Tak samom jechał do mojéj niebogi?

Prawie w ostatniéj potrzebie z Szwedami
Poległ śród boju, Pan Miecznik Różański,

A że miał wielki mir pomiędzy nami,
Otóż stanęło na radzie hetmańskiéj,
Ażeby ciało odwieźć w jego progi,
I z asystencyą oddać jego wdowie.

„Waść będziesz czynił,“ Pan Hetman mi powié,
I wydasz ciało sam w ręce niebogi,
I w mém imieniu będziesz na pogrzebie,
I od rycérstwa wyrządzisz poczciwość;
Ja z kondolencyą dam listy od siebie,
Boć wzgląd mieć trzeba na niewieścią tkliwość,
I na zasługi poległego w boju;
Niechaj nam z Bogiem spoczywa w pokoju.“

I tak się stało — że z pocztem osobnym
Ruszyłem prosto, z konduktem żałobnym
Z pobojowiska — wszystko to zabrawszy
Co po Mieczniku było pozostało.

W piérwszem miasteczku trumnę zrobić dawszy,
Złożyć kazałem na rydwanie ciało,
I księży wziąwszy z pierwszego klasztoru,
Jechałem wolno do wdowiego dworu....

Miesiąc w téj drodze świécił mi tak samo,
Aż w końcum stanął przed klasztorną bramą,

Gdziem Przeorowi całą rzecz otworzył,
I nieboszczyka tymczasowo złożył.

W sąsiedztwie mieszkał, Pan Wojski Proszczycki
Pobliski krewny Starościny Lidzkiéj,
Więc wypadało go naprzód nawiédzić,
I o nieszczęściu rodziny uprzedzić.

Z boleścią przyjął on moje poselstwo,
Bo go łączyło wielkie przyjacielstwo
Oprócz krewieństwa: od chłopiąt z Miecznikiem
Długo służyli razem z nieboszczykiem
W jednéj chorągwi, — oba w jednym roku
Pojęli żony, — w sąsiedztwie osiedli,
I wspólny żywot niby bracia wiedli,
I wspólnych mieli przyjaciół u boku.

Kiedym zajechał — Wojski w ganku siedział,
I rzecz zrozumiał, nawet bez słów wiela,
I ciężko spłakał, kiedy się dowiedział
O owéj śmierci swego przyjaciela;
Ale boleści nie folgował marnéj,
Ukląkł i zmówił: wieczny odpoczynek;
Potém wstał — włożył na się żupan czarny,
I rzekł mi krótko: — „Jedźmy do Malinek:
Smutne poselstwo trzeba odnieść wdowie.“

Dwór Miecznikowéj stał w pięknéj dąbrowie,
Od wsi Wojskiego ledwo o pół mili...
Ksiądz Przeor znacznie wyprzedził nas rankiem,
I był już naszę bytność zapowiedział;
A więc dwór cały czekał nas pod gankiem,
I o nieszczęściu dom już cały wiedział. .

Gdyśmy nareszcie stanęli przed Panią,
Nikt z nas przemówić nie śmiał ani słowa,
Ale i oczy złego posła ranią;
Nieboga swoje nieszczęście odgadła,
I rzekła mężnie: — „Czuję to żem wdowa!“
A śliczna córa jak kalina zbladła,
I u stóp matki bez duszy upadła.

Zbiegł się fraucymer. — „Na ustęp Panowie!“
Rzekł nam Pan Wojski — i tylko z Przeorem
Zostali oba przy córce i wdowie;
I obiem ujrzał dopiéro wieczorem....

Nazajutrz bliżsi zjechali sąsiedzi;
Przeor miał lektę w żałobnym ornacie.
Kirem odziana Pani po swéj stracie,
Według zwyczaju z całym swoim dworem,
O świcie jeszcze była u spowiedzi.

A po mszy świętéj z Wojskim i Przeorem
Złożyłem radę — jakby uroczysty
Kondukt odprawić, i akt ten ogłosić,
I województwo całe ściągnąć listy,
I na żałobny chléb wszystkich zaprosić.
Więc naprzód Przeor wysłał zaprosiny,
I do kollegiat i dalszych klasztorów;
Pan Wojski znowu, w imieniu rodziny,
Obesłał listy do zamków i dworów;
A ja nareszcie, ordynans Hetmana,
Jak mi był dany od mojego Pana,
Po województwie obwiozłem do koła,
Rzecz poczynając porządnie od czoła;
Więc od samego Pana Wojewody,
Aż do ostatniéj szlacheckiéj zagrody.

Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany:
Każdy towarzysz miał po dwóch pocztowych,
Każdy wypoczął, był dobrze ubrany,
A wszystka szlachta na koniach harcowych,
Więc co się zowie było okazale;
Gdym poczt mój sprawił i stanął na czole,
Pan Wojewoda wyruszył wspaniale,
Także na koniu, bo w rycérskiém kole;
I towarzystwa grzecznego nie mało
Nawet z ziem dalszych na zaciąg zjechało.

Wspaniały rydwan ruszył od klasztoru,
I śpiéw się ozwał w dłuż wielkiego chóru,
Znać że do grobu wieziono rycérza;
Bo za rydwanem stąpał koń Miecznika,
Chorągwie szwedzkie na krzyż u puklerza,
A obok trumny zbroja nieboszczyka .....

Stu księży mszalnych, dwanaście klasztorów,
I ksiądz Sufragan exportował ciało;
A za konduktem, z okolicznych dworów
Tak wiele kolas i bryczek jechało,
Że czoło blisko już wdowiego dworu,
A koniec ledwo wyruszył z klasztoru.

Przed wioską tedy zatrzymałem czoło,
I cały kondukt ściągnął się na błoniu;
Do koła trumny zatoczono koło,
I tylko poczt mój pozostał na koniu.

Przed dworem na krzyż schodziły się drogi,
I kodukt stanął przed bramą niebogi,
Co z dworu wyszła na smutne spotkanie
Powitać zwłoki męża na rydwanie.

Obok niéj córa po nad matką zgięta,
Niby to lilija albo jaka święta,

Obie w zakonnym stroju otulone,
I smutnym dworem w koło otoczone.

Koń mi się ciskał jak odyniec ranny,
A tu przemówić z konia wypadało;
A więc westchnąłem do Najświętszéj Panny:
„Ratuj mnie Pani!“ i tak téż się stało,
Bo mi włożyła w usta wdzięczne słowo,
A koń stał wryty, gdym stanął przed wdową.

Jam nie orator! — łzą mi zaszło oko —
Ale w prostocie człowiek Boga chwali!
A kiedy sięgnie do duszy głęboko,
I nad niedolą ludzką się użali,
To z serca płyną słowa nieuczone,
A z oczu bliźnich łzy nieutulone.

O jam nie retor! lecz przy łasce Bożéj,
Jam Sakramentów w sobie nie zatracił!
A jak człek rękę do serca przyłoży
I w krwi poczuje: z czém i z kim się bracił?
To na Hetmana dusza mu urasta,
I godzien nawet przemówić — w kościele,
A w boju stanąć — na rycérstwa czele,
A w grobie legnąć — nawet obok Piasta.

Com w ów czas mówił, powtórzyć nie umiem,
Bo w ów czas nawet nie znałem, com prawił
W afekcie duszy — ale tak rozumiem,
Żem rozkaz Pana mego dobrze sprawił!

Wiem tylko tyle, żem począł od Boga,
I od ojczyzny, i od krwi pocziwéj,
Co jak orlica uderza na wroga,
Kiedy jéj gniazda dotknie gad zelżywy;
A gdym nareszcie złożył w ręce wdowy
I pierścień ślubny i sygnet herbowy
I relikwiarzyk, co na piersi nosił,
Oddałem córce, jak sam o to prosił —
Gdym spojrzał na nią, a ona mnie w oczy,
A tu się perła po jagodach toczy,
I jakaś światłość od jéj oblicznośċi
Padła mi w duszę — to już od żałości
Nie mogłem więcéj wymówić i słowa,
I tak się na tém skończyła ta mowa.
Przez trzy dni całe trwał akt pogrzebowy,
Msze się prawiły, exorty i mowy,
A dnia piérwszego exportacya była,
A dnia drugiego wzniosła się mogiła,
A dnia trzeciego exekwie prawiono,
I przed północą stypę zakończono;
I jaki taki kiedy łzę osuszył,
Pożegnał wdowę, i odjechał w ciszy.

A gdy do domu Wojewoda ruszył,
I jam odpuścił moich towarzyszy,
Bo téż już było po szwedzkiéj potrzebie,
Więc rad téż każdy powracał do siebie.
Sam zaś zostałem, i z wielką ochotą,
Bo matka z córą prosiły mnie o to.
A gdy już miesiąc był prawie upłynął,
I żal co większy już nieco przeminął,
Poczęto pytać o wszystkie wypadki
Szwedzkiéj potrzeby — i chwile ostatnie
Pana Miecznika — a choć człek był gładki,
Nie raz się splątał jakby popadł w matnie.
Gdy przyszło mówić o takiéj boleści,
I wytrwać mężnie w obec łzy niewieściéj,
Bo choć się obie łez jak grzéchu strzegły,
Choć Panna Anna znów do krosien siadła,
A sprawy domu zwykłym trybem biegły,
To często jeszcze łza na wzory padła.
I dosłyszałem nie raz stojąc z boku,
Jak do poufnéj rzekła ze łzą w oku:
„Czy to już późno? czy się dziś tak mroczy,
Że mi już nie chcą statkować i oczy,
Że i jedwabiów rozeznać nie mogę?“

A ta to niby wyręcza niebogę;
I kiedy do jéj pracy się przysiada,
To łzę ustyma z oczu jéj wykrada.

O biada sercu! i téj głowie biada!
Bo Panna Anna była mi tak droga,
Że się tak kochać godzi tylko Boga!
I możem w życiu za to pokutował,
Żem taką miłość dla niewiasty chował,
Jaką człek wierny tylko niebu mierzy,
Jaka po Bogu ojczyznie należy...

Sześć niedziel zbiegło mi na wdowim chlebie,
Jak gdyby jedna godzina gdzieś w niebie,
I kiedy przyszło w końcu do rozstania,
Anna nieśmiało przy matce się skłania,
I tak mi rzecze już na samym progu:
„Kiedy się, kiedy podobało Bogu,
Że kądziel tylko zostawił w tym domu,
To szabli ojca nie ma nosić komu;
A że jéj smutno będzie w tym spoczynku,
Więc przyjm ją Waszmość proszę w upominku.“
To téż przyjąłem szablę ze łzą w oku,
I odtąd wiernie noszę ją przy boku...

Tak samo świécił miesiąc, gdym wyjechał,
I znowum nigdzie nie spoczął w téj drodze...
Pogoda była, i świat się uśmiéchał,
Lecz myśli moje tylko przy niebodze.

Gdym znowu stanął na dworze Hetmana,
Rzecze mi Hetman raz pewnego rana:
„Coś Waść posmutniał mi na wdowim dworze,
Czy Miecznikówna tak do serca wpadła?
To Szwed cię nie zjadł, a podwika zjadła?
No — ja pomogę! — jeźli Bóg pomoże!“
I rok sześć niedziel milczeliśmy oba;
Aż się w Malinkach skończyła żałoba.
W ów czas dopiéro Hetman mi powiada:
„Mój Poruczniku! jeżeliś nie zmienił
Dotąd twéj myśli — to jechać wypada
Nam do Malinek, i będę cię żenił!
Ojca zastąpię, co już leży w grobie,
Pannie i Waści — i pobłogosławię!
(A Koszowacki klucz wypuszczam tobie,
I przenosiny sam Waszmości sprawię.)

Wiernym ty drużbą byłeś mi wśród boju,
To ja Starostą chcę ci być w pokoju;
A ufam w sercu że się nie rozłączy
Taj przyaźń nasza, chyba ją Pan skończy.“

Do nóg mu padłem nie rzekłszy ni słowa,
A on mnie podjął i ścisnął mi głowę,
I rzekł łaskawie: „Wesela połowę
Mamy już tedy! — pisz Wasze do domu,

Bo gdzie się córa we dworze uchowa,
Tam jéj nie dadzą bez prośby nikomu.
Znam że się prośba Miecznikowéj nada,
Lecz list od matki Waści mieć wypada
Do Miecznikowéj. — Pan Wojski Proszczycki
Wszak bliski sęsiad Starościny Lidzkiéj;
Więc niech tam z listem czeka nas posłaniec,
A na Ostatki — da Bóg — pójdziem w taniec!“

Prawda żem wierny był Panu w potrzebie,
I służyć miałem do śmierci ochotę ...
Lecz cóż za dusza, co za serce złote,
Że mi los taki obmyślił u siebie!

Od rezydencyi zwyczajnéj Hetmana,
Cztéry dni drogi było do Malinek,
We wsi Wojskiego stanęliśmy z rana;
Ale nim jeszcze poszedł na spoczynek,
Oświadczył Hetman rzecz krótkiemi słowy,
A Wojski przyjął zamysły łaskawie,
I jako bliski Pani Miecznikowéj,
Przyrzekł nam pomoc życzliwą w téj sprawie.

Nazajutrz przebiegł do Malinek rankiem,
I przed śniadaniem jeszcze do nas wrócił,

Lecz znać słów parę o zamiarach rzucił,
Bo tylko Pani witała pod gankiem,
Gdyśmy poszóstno w dziedziniec wjechali.
Najprzód słów parę o Mieczniku padło,
I westchnień parę z piersi się wykradło,
A kiedy Pani chciała prosić daléj,
Rzecze Pan Hetman:

„Kawaler stateczny,
Ozdoba naszéj chorągwi walecznéj,
Porucznik Mohort — prawa ręka w boju,
A domu mego przyjaciel w pokoju,
Prosi by wolno było wejść w te progi.“
A Pani na to — „Od dawna nam drogi!
Witam i proszę!“ i skłoniła grzecznie,
A Panu rękę podała statecznie....

Przez trzy dni trwała gościna wesoła,
Lecz Hetman koni nie kazał wykładać,
Chcąc się z zamiarów jawnie wyspowiadać;
Ztąd pannę tylko widywał u stoła.
Aż dnia czwartego rzekł mi Hetman z rana:
„Trzy dni tu gościm bez szaréj polewki,
A więc się skłonić wypada w kolana,
A jak rozumiem nieodmówią dziéwki;
Sygnet przezemnie daje Hetmanowa,

Bo lepszą pamięć miała białogłowa
O tém, co tutaj będzie nam potrzebne.
Jeźli Bóg zdarzy zabiegi swadziebne,
A mnie się uda sprawę z matką ubić,
To córę zaraz najlepiéj poślubić.

Najdzielniéj bije serce pod pancerzem:
Więc wezwij naprzód w pomoc Pana Boga,
I opnij pancerz jakbyś szedł na wroga,
Niech i ja czuję że swatam rycérza.

Jeźli Wojskiego przyszlę do Waszeci,
Dobry znak będzie — jeźli krzyknę z sali:
W konia! to siadaj i pojeżdżaj daléj,
Bo znać nie dla nas szczęście tutaj świéci."

Nigdy mi serce nie biło tak w boju,
Jak w owéj sali na serdecznéj straży;
A koń przed gankiem rwał się w niepokoju,
Jakby przeczuwał że mój los się waży.

Wtém wpadł Pan Wojski i krzyknął „wygrana!"
Pani siedziała w krześle upłakana,
Obok stał Hetman ku niéj nachylony,

Kiedy pan Wojski uchylił opony,
I kiedym zwolna wstąpił na próg sali.

„Do nóg, jak matce!“ rzekł mi Hetman głośno...
I padłem do nóg przejęty do żywa,
A w sercu było mi coś tak żałośno,
Jak pod pancerzem nigdy tam nie bywa.

I Hetman podał list méj rodzicielki,
I list przejrzała z płaczem Miecznikowa,
I rzekła Panu: „Widzę że Bóg wielki!
Co w pieczy swojéj i siéroty chowa,
Czuwać nad domem wdowy nie przestaje,
Gdy opiekunów takich Annie daje;
To niech się dzieje wola Jego święta,
Niech Anna przyjdzie.“

Weszła Anna w bieli,
Jako na ziemię zstępują Anieli,
Jakoby z nieba prosto była wzięta....
A matka rzekła:

„Anno! ojciec w grobie,
Pan Hetman, Anno! chce być ojcem tobie,
I o twym losie wraz ze mną stanowi,
I oddasz rękę Panu Mohortowi.“

Zadrżała Anna, i jak lilija zbladła,
I do nóg matki na kobiercu padła.

Potém Pan Wojski pannie błogosławił,
A potém Hetman, — i stała rumiana —
A Hetman rzecze: „Gdy tak Pan Bóg sprawił,
To nim po wieniec schylimy kolana,
I łaskę domu zdołamy zawdzięczyć,
Niech wolno będzie nam pannę zaręczyć.“

„Anno! daj pierścień na wieczyste śluby,“
Rzekła jéj matka. — A twarz mojéj lubéj
Jakieś niebieskie okrasiły wdzięki,
I po raz piérwszy dotknąłem jéj ręki,
A kiedym pierścień na rękę jéj wkładał,
To biło serce że aż pancerz gadał.

Wieczorem wiele zjechało się gości...
Pan Hetman dodał uczcie wspaniałości,
I akt ogłosił w okazałéj mowie,
I w koléj puścił méj bogdanki zdrowie;
A potém póty nie odstąpił matki,
Aż wyznaczyła dzień ślubu w Ostatki.

Z Malinek jadę objąć Koszowatę,
I zrozumiałem co za kawał chleba

Dał mi Pan Hetman — wszystko tam bogate,
Więcéj wszystkiego było niż potrzeba:
Zasobno, chlebno, i miodno i mléczno,
Mączka i łączka i ryby i grzyby,
We dworze czysto, w dziedzińcu słoneczno,
W koło poczciwych sąsiadów siedziby,
I niedaleko do kościoła było ...
A przecież wszystko razem nie cieszyło;
Czy to że byłem sam jeden w tym dworze,
Czy że tak nagle spadły dary Boże,
Że człeku trudno było w to uwierzyć,
By się udało taki los zadzierżyć?
Dość że tak było.

Jadę więc do matki,
Bo się już zbliżał wreszcie czas wesela,
Po drodze wziąwszy z sobą przyjaciela,
By miéć już drużbę z sobą na Ostatki;
W domu nie byłem od dawnego czasu,
Bo raz ostatni przed szwedzką potrzebą,
Więc gdy dwór matki zaświécił od lasu,
To mi się zdało, żem zobaczył niebo!

Nieba téż rada była mi przychylić,
Wszystkiém obdarzyć i wszystkiém zasilić;
Lecz gdym niejaki czas w domu przesiedział,
Wszystko jak było matce opowiedział,
Rzekła mi matka:

„Serce mi się lęka,
I niech tém wszystkiem Pańska rządzi ręka,
By się weselem skończyło wesele...
Tyś dał relikwiarz — ona karabelę.“

„I jedna wiara“ mówi Paweł święty!
Rzekłem w ufności, chcąc ją uspokoić;
Ale złéj wróżby przeczucicm dotknięty,
Własnego serca nie mogłem ukoić....
Błogosławieństwo wziąwszy więc od matki
I dla synowéj przyszłéj upominek,
Wraz z przyjaciołmi ruszyłem w Ostatki
Do méj niebogi i owych Malinek.
Mróz pofolgował, jak w Ostatki bywa,
Puszczać poczęło i kruszały lody,
Wiatr powiał ciepły i spadła ulewa,
I krę na Niemnie ruszyły już wody.

W miejscu przeprawy wielkie kry się sparły,
I lód stał jeszcze — lecz ani po lodzie
Nam się przeprawić ani téż po wodzie,
Bo strach, by krychy łodzi nie zatarły;
Pół dnia czekałem czy nie zniesie lodu...
Wreszcie przeszedłem po nim raz i drugi,
A że to człowiek gorący za młodu
Choć i na lodzie — krzyknąłem na sługi:

„Nie ma złéj drogi do mojéj niebogi!
Puszczaj, przejedziem!“

Lecz gdyśmy zjechali,
I już drugiego brzegu dobijali,
Lód tak ogromnie jak z armaty strzelił,
I krą od brzegu z nami się oddzielił;
I kry naparły, a my z wodą płyniem,
I bez ratunku oczywiście giniem.

Dobyłem szabli i odciąłem konie,
I napędziłem, i skoczyły z lodu
Po krach do brzegu. Wołam! stojąc z przodu,
A kra się łamie i człowiek mi tonie.
W spód poszły sanie — pod lód poszła służba,
I wszystkie rzeczy, i koni siedmioro...
Po krach skaczemy, ja wprzód, za mną drużba,
Aż nas nareszcie kry już z sobą biorą,
I światem niosą całym pędem rzéki,
I woda zda się co raz bardziéj rosła,
A wieczór siadła na kępie dalekiéj.
Straszna noc była! — pośród kry i fali
Całąśmy dobę na kępie przestali;
Aż się nareszcie jakiś rybak zjawił,
I do pobliskiéj wioski nas przeprawił.

Umiejąc pływać — to mogłem przepłynąć!
Ale mój drużba tak się napił wody,
I skostniał wszystek — że przyszłoby zginąć,
Gdybym go rzucił śród takiéj przygody;
Nadto trzos ciężki, ba i szablę miałem,
I już obojga uronić nie chciałem.

O losie naszym była już wieść w biegu,
Bo już i nasze konie pochwytano,
I po zaściankach sobie powiadano,
Że mnie wraz z drużbą zniosła kra od brzegu;
Więc nas téż ludzie nad wodą szukali,
I jak z tamtego świata nas witali.
Poczciwa szlachta siedziała w zaścianku,
Kiedy nas rybak wynalazł o ranku,
Przybyli na brzeg z posiłkiem skwapliwie,
I jako braci podjęli życzliwie.

Drużba już nie mógł słowa wypowiedziéć,
Choć był człek mężny, i miał serce z rodu;
A gdy się napił z korzeniami miodu,
Dreszcz go rzuciła, ale począł bredzić;
Nie dobrze, myślę, coś się nam nie wiedzie!
A on w gorączce: „Co to z tego będzie?
A gdzie mój ręcznik? to nie dobra wróżba,
A gdzież jest wieniec? o biedny ja drużba!“

A w nocy wołał: „panie bracie, w konie!
Pędźmy co wyskok — panna młoda tonie!“

O świcie przybył braciszek z klasztora,
I krew mu puścił, lecz było zapóźno,
Jak obłąkany patrzył w koło groźno,
I na mym ręku skonał do wieczora.

I wszyscy ze wsi za pogrzebem wyszli,
I słowa matki stanęły mi w myśli,
I jakiś zawrot głowę opanował:
On mnie miał drużbić, a jam go pochował!

Kiedy się wiedzie, bywa tego troje...
Szlachcic do wózka zaprzągł konie moje,
I do Malinek pojeżdżamy oba;
Tutaj dopiéro czas rozważyć miałem,
Że od wypadku piąta przeszła doba,
Że ludzie z końmi i taborem całym,
O dzień podróży za nami ciągnęli,
I ostrzeżeni przecież ocaleli.
Lecz co się z nimi stać już mogło daléj:
Czy powrócili słysząc o przygodzie?
Czy na przewozie czekają przy wodzie?
Czy do Malinek może dojechali?

Nie mogłem zgadnąć — i tém większa trwoga
Zbiérała serce, czém bliżéj już było,
I zaklinałem: jedź! przez rany Boga —
Bo mi coś serce niedobrze wróżyło.

W tém odgłos dzwonów odezwał się głucho,
I śpiéw żałobny uderzył me ucho;
Wpadam na groblę, a tu tłum narodu,
Chorągwie, światła i czarny krzyż z przodu,
Straszliwa chmura kruków i gawronów
Zaćmiła niebo, zgłuszyła śpiéw chóru,
I nawet odgłos tych żałobnych dzwonów...
A tutaj trumnę wynoszą ze dworu:
W oczach i w duszy zrobiło się ciemno!
Co to? kto umarł? Co to? wielki Boże!
A z grobli wszystko pierzchnęło przedemną:
„Upiór! topielec! ratuj się kto może!“
I pierzchli w strony, a przedemną przodem
Leciało ptastwo czarnym korowodem.
„Upiór! topielec!“ jeden głos do koła,
A czarne ptastwo straszną chmurą kraczy;
Więc pędzę groblą, co koń wyrwać zdoła,
I zrozumiałem co to wszystko znaczy,
I bies mnie w kleszcze pochwycił rozpaczy.

Śpiéwy ucichły koło bramy staréj,
I wszystko pierzchło, i stanęły mary,

Skoczyłem z wozu, i oko nie wierzy —
Trumma otwarta — w trumnie Anna leży.

I takie były me weselne gody,
Bo mnie witała w stroju panny młodéj,
I jako lilija taka była strojna,
A jako anioł uśpiony spokojna.

Jakże się udał sen mojéj panience!
Porwałem trumnę jak dziécię na ręce,
Porwałem trumnę i lecę i niosę,
A wiatr mi do ust przygarniał jéj kosę,
I białe wstęgi u wieńca furkocą...
I mnie coś niosło jakąś dziwną mocą.

Nie wiem gdzie biegłem, i dokąd ją niosłem,
Ale nad dachy i dęby urosłem,
I jakaś siła od ziemi mnie niosła,
I trumna w rękach ku niebu mi rosła,
I nagle wpadłem w jakąś bezdeń ciemną,
I daléj nie wiem co się działo ze mną....

Po wielkiéj burzy noc nastała głucha:
Lecz czym w letargu długo noc przeleżał?

Czy to w rozpaczy rozum mnie odbieżał?
Czylim się dostał pod moc złego ducha?
Tego sam dzisiaj powiedziéć nie umiem.

Czasem świtało na chwilę w rozumie,
I nibym wiedział że mi głowa chora,
I poznawałem Wojskiego, Przeora,
Słyszałem modły — brałem jakieś léki —
Lecz skoro tylko skleją się powieki,
Już znowu szatan płatał swoje sztuki,
I w koło głowy krążyły gawrony,
I w uszach biły ciągle tylko dzwony,
I przed oczyma snuły mi się kruki.

Jak długom leżał bez myśli, bez woli?
Nie mogę wiedziéć — ale bez ustanku
Czułem w tym stanie, że coś bardzo boli.
Kiedym się ocknął nareszcie o ranku,
Patrzę — a w celi nie było nikogo,
Robię znak krzyża — a ręka mnie słucha,
Probuję powstać — staję jedną nogą,
Ba daléj drugą, i nabrałem ducha,
I wdziałem szaty, a gdym karabelę
Zdjąwszy z nad łoża przypasał do boku,
Zdrów się uczułem na duszy i ciele.
Wschodzące słońce gorzało w obłoku,

I coś mnie dziwnie nęciło w świat Boży;
Wychodzę — mijam krużganek niezgorzéj,
Schodzę ze schodów, i ledwo sam wierzę,
Zkąd taka siła i oddech się bierze.
W dziedzińcu jakaś owiała mnie wonia,
Jak z łąk skoszonych — patrzę, a to lato,
I posłyszałem w stajni rżenie konia;
Wchodzę do stajni — a tutaj jak na to,
Koń kulbaczony rwie się koło żłobu.
Patrzę — mój własny — o czas dla nas obu,
W skrytości serca pomyślałem sobie,
I siadłem na koń powoli po żłobie;
Parsknął z radości, nie było nikogo,
A więc z dziedzińca puściłem się drogą,
I ciąglem jechał w świat ku jednéj stronie,
Aż zajechałem tu na dzikie pola;
I taka była znać już Boża wola:
Bo odtąd żyję już tylko w zakonie......

W trzy lat dopiéro po mojem przybyciu
Tutaj na krésy — kiedy nawet gadka
O mnie ucichła, znalazła ślad matka,
Któréj już więcéj nie widziałem w życiu;
I wyprawiła, chociaż z tak daleka,
W te kraje za mną wiernego człowieka

Z trochą substancyi, z końmi, z papiérami,
I z listem w którym żegnała mnie łzami!
I na téj drodze, na domiar boleści,
Także z Malinek odebrałem wieści.

Kiedym się w ów czas załamał na lodzie,
Przybył moj tabor w dzień po nas do Niemna,
A jeden z ludzi, choć noc była ciemna,
Nie wiele myśląc, nie długo zabawił,
I jak z czem dobrém na gwałt się przeprawił,
I do Malinek doniósł o przygodzie.

Gdy wpadł w dziedziniec, był to właśnie ranek,
A piérwsza Anna wybiegła na ganek:
„A gdzież pan został?“ ze trwogą go bada,
A ów nieszczęsny pachołek powiada:
„Pan nasz utonął!“

I więcéj nie trzeba
Było dla Anny — bo po takiéj wieści
Wpadła w malignę — i wziął Bóg do nieba
Anioła swego po krótkiéj boleści;
A mnie się twardy żywot tu zaznaczył,
Lecz krzyż poniosłem, bo nim Pan uraczył.

Tu umilkł starzec, i dobył różaniec...
Jutrzenka zeszła — i sam ziemi kraniec
Już się nawodził piérwszym brzaskiem zorzy...
Spojrzałem w koło — ha, piękny świat Boży!
Więc i jam westchnął w téj chwili porannéj,
Patrząc w jutrzenkę do Najświętszéj Panny!

VI.

Ileż to razy uderzał o uszy
Odgłos komendy, i szedł mimo duszy.

Lecz jak inaczéj, jak wcale inaczéj
Głos ten przenika aż do serca głębi,
I dreszczem przejmie, i aż w krwi zakłębi,
Gdy się marsz wojsku już do boju znaczy.

W ów czas w komendzie leży cała waga,
I moc tajemna, i prawda tak naga
Że się jéj oprzéć już nic nie odważy,
Że już nie rozum, ale ręka słucha,
Że już nie wola, lecz ciało się waży,
A koń ma z jeźdzcem po połowie ducha.

Na koń! — odezwał się naprzód Oboźny,
Na koń!! — obiega dokoła głos groźny,
Na koń!!! — zawrzało i zamęt śród wrzawy,
Na koń! — i jezdnych połowa już w biegu,
Na koń! — i wszystkie skończone już sprawy;
Baczność! — i wszyscy stali już w szeregu....

I słońce błysło złocisto u wschodu,
I Książę dosiadł bachmata wesoło,
Przejrzał szeregi, i pomknął na czoło,
A jedna trąbka dała znak pochodu.

„Marsz!“

I blask słońca zaigrał po stali.

Marsz!!!

I jak rzéka całe wojsko wali!

Poważna cisza — i tylko po rosie
Słychać głos trąbki, lecz w tym jednym głosie,
Co się rozlegał w téj chwili rozstania,
Leżała cała waga pożegnania.

I każdy, patrząc na tę ziemię żyzną,
Mówił sam sobie z żałośném uczuciem:

„Żegnaj rycérzy i mogił ojczyzno!
I kiedyż znowu do ciebie powrócim?
Pod jaką wróżbą? i z jakiém obliczem?
I czy w szeregach jeszcze się policzem?“

Wosoło płyną narodowe znaki!
Széroka droga na rozstajne szlaki,
I koń i serce ochocze do lotu...
Lecz gdzie się oprzem? gdzie położem kości?
I czy nam stanie drogi do powrotu?
I czy nie zmarni się tyle miłości?...

Każdy to uczuł, że został pod niebem,
I jechał wolno jakby za pogrzebem;
Więc Książę krzyknął: „Hej! naprzód śpiéwaki,
Pieśnią pożegnać ukraińskie szlaki!
A tam na niebie widzę klucz żórawi,
Więc dobra wróżba! Niech się wrogi smucą,
Bojem się tylko kraj dźwiga i sławi.
Wszak i żórawie lecą a powrócą?
Toć i my jeszcze tu powrócim może;
Naprzód śpiéwaki! naprzód w Imię Boże!“

To chociaż w duszy nie było wesoło,
Słowem się wodza pokrzepiła wiara,

I wymykali śpiéwaki na czoło,
I miła wszystkim wojskowa pieśń stara
Zabrzmiała w stepie:

„Hej tam na górze
Jadą rycérze,
Puku, puku w okieneczko,
Wstań i otwórz panieneczko,
Koniom wody daj!“

Jest nić tajemna która wiąże duchy,
I serce wodza z sercem całéj wiary,
Że wspólnie biją i do jednéj miary,
Jak w elektronu chwycone łańcuchy.

Kiedy się pieśnią Książę rozweselił,
Promień nadziei także w wojsko strzelił,
I duch powrócił, i znowu ochoczo
Pryskają konie, i zastępy kroczą.
Tuż obok Księcia Pan Oboźny jechał,
I głaszcząc konia z cicha się uśmiéchał,
I rzecze Księciu; — „No, co tak, to ale!
Tak po hetmańsku, i to sobie chwalę!
Gdy klucz żórawi tak dobrze posłużył,

Że z lotu ptaków Książę nam powróżył,
To powiem Panom, co w podobnéj sprawie
Stary Przezdziecki z młodu mi powiadał,
Który był z królem Janem na wyprawie,
Jak tam się orzeł dziwnie wojsku nadał —
Są bowiem rzeczy, mimo ludzkie zdanie,
Do których rozum nie dorobi kluczy,
Których człek prosty na wojnie się uczy;
A całe wojsko patrzało tam na nie —
Król szedł na Kraków i Tarnowskie góry,
I chyba tylko z Pańskich Świętych który
Tak się gotuje przed swojém męczeństwem,
Jak się gotował Król przed tém zwycięztwem.

Processyą obszedł krakowskie kościoły,
I czynił śluby i wota w szczodrości,
I stare progi Jagiellońskiéj szkoły
Jak wierny uczeń odwiedzał w miłości,
I adoracyą serdeczną oddawszy
Relikwijom Świętych Patronów Korony,
Szedł na wyprawę jak Król najłaskawszy,
I w łasce Bożéj mocarz namaszczony,
A w pochód biły mu krakowskie dzwony.

Choć był jak rycérz dzielnością przejęty,
Choć taką wiarę miał i nabożeństwo

Do Matki Boskiéj, i do Trójcy Świętéj,
Nie ufał sobie, czy mu da zwycięztwo...
Otóż zwyciężył — bo go daje temu
Pan — co nie sobie, ale ufa Jemu...

Już na Morawach zabiegł drogę Panu
Prymas Węgierski, Arcybiskup Granu,
I za przymierze dziękował życzliwie,
I podjął w drodze Króla miłościwie.

Aż tu o świcie przygoda nielada:
Podług pogłoski niedalekie wrogi,
A wojsko naszło na krzyżowe drogi,
I nie wiadomo kędy iść wypada.

Król skinął ręką — stanęły zastępy,
I patrzą przed się ponuro jak sępy,
Lecz Król na niebie dawno orła tropił,
Co się z pobliskich gór raźno wychopił,
I w koło wojska wielkiém kołem płynął,
A potém nagle nad Królem się zwinął,
I zawisł nisko, i okiem go zmierzył,
I przodem w drogę środkową uderzył.

Król choć był Królem, to miał zwyczaj taki,
Że równo z berłem czcił hetmańskie znaki,

Pamięć Chocima była mu tak drogą,
Że nawet Królem, idąc na wyprawę,
Zawsze na siodle chocimską buławę
Hetmańskim strojem miał pod lewą nogą.
Więc gdy się z orłem oko w oko zmierzył,
A orzeł w drogę środkową uderzył,
Wysoko w górę buławę wyrzucił,
W lewo buławę, w prawo koniem zwrócił,
A jak przystało tylko na junaka,
Dał na tym zwrocie gładkiego szczupaka,
I chwycił zręcznie lecącą z wysoka
Druchnę chocimską, jak gdyby do tańca.
I jakby koniem tratował pohańca!
Tak po królewsku strzeliło mu z oka,
I krzyknął głośno nim posunął przodem:
„Za orłem wiara! jeszcze Bóg z Narodem!“

To mi krew Pańska! To mi duch proroczy,
Co orła pojmie gdy mu spojrzy w oczy!
I Wam tak samo niech da Bóg mój Książę!
I niech z Narodem na wieki Was związe.“

A Książę ścisnął Mohorta serdecznie,
I rzekł wzruszony: „Bóg i Naród wiecznie!
Za mną Panowie!“

I z szlaku się rzucił,
I ku wysokiéj mogile się zwrócił,
I cały orszak stanął na mogile,
I na szyk wojska spoglądał przez chwilę.

Jako po stepie széroki szlak płynął,
Tak krętą rzéką korpus się rozwinął,
I wstęgą suną półki coraz nowe,
W powietrzu wieją znaki narodowe,
Na przedzie widne i jeźdzce i konie,
Daléj się czernią tylko górą kaski,
Daléj kolumna płynie jak most płaski,
A jeszcze daléj błyszczą tylko bronie,
I po nad wojskiem tylko tuman płynie,
A już nareszcie step w obłoku ginie.....

Z nadzieją Książę spoglądał w świat Boży,
A tu na niebie znowu klucz żórawi
Po nad mogiłą i wojskiem się pławi,
A bachmat jego, co miał orle skrzydło
U każdéj nogi, przeżuwał wędzidło,
Rwał grunt kopytem, i drżał od rączości,
I póty grzebał — aż się dobił — kości!....

Długoby trzeba myślami się wodzić,
I brnąć w nadludzkich boleściach okropnie,
Gdyby to przyszło z kolei przechodzić
Wszystkie od chwały do upadku stopnie.....

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
Grobla széroka, i niby bezpieczna,
Poniżéj grobli płynie w bagnach struga,
A na niéj stoi mogiła odwieczna.

Tam do piérwszego przyszło więc spotkania,
Bo nieprzyjaciel szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzema kolumnami...
Z rzadka już strzały padały od rania,
I Pan Kościuszko przednią straż prowadził,
I był się znacznie przodem już odsadził;
Głównym korpusem sam Książę dowodził,
A w tylnéj straży komendę Jenerał
Wielhorski miał — i z lekka odpiérał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.

Marsz trwał dzień cały — pod wieczór się miało,
I Boryszkowską groblę wypadało
Przebyć przed nocą — most za sobą spalić,
I przez marsz nocny znacznie się oddalić

Od nieprzyjacioł — jakoż po dwa razy
Przysyłał Książę z takiemi rozkazy.

Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami, i z tą groblą długą
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą...
A nim most stanie aż nazajutrz z rana,
I nieprzyjaciel przez most się przeprawi,
Nim się po takiéj przeprawie znów zładzi,
To i nie mały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi:
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy na groblę weszli Boryszkowską,
Już się zdawało że z pomocą Boską
Ujdziem szczęśliwie — poczęło się mroczyć...
Spieszno nam było, więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jęły w bród się tłoczyć;
Jenerał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie,
I wołał — „Stępo!!!“ tak silnie i karno,
Że każdy słyszał chociaż było gwarno.

Wtém straszny łomot i tysiączne głosy
Wojennéj trwogi, wzbiły się w niebiosy.
Co tam?!

Na przedzie most się nagle zwalił,
A nieprzyjaciel téjże saméj chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli,
Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił:
I na trzech linijach czysto jak po miotle,
A koło mostu zawrzało jak w kotle,
Z ludzi i z koni niby kra się sparła;
Gdy się most zwalił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła,
I woda buchła nagle rzéką całą,
I wszystko w strony od strzałów pierzchało,
I w pław do stawu, i z grobli na błota,
A i ranionych było już bez liku.

Po trupie Mohort przedarł się na siłę,
I do Rotmistrza — który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał — rzekł: „a to sromota!
Hej! Ostaszewski za mną na mogiłę!“
I jak duch bitwy stanął na mogile,
I powiódł w koło oczyma przez chwilę,
I krzyknął: „Baczność! równaj się szóstkami!“
W połowie grobli ta mogiła stała…
I gdy komenda z jéj wierzchu zagrzmiała,
Każdy rozumiał że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.

„Ja pójdę naprzód, i piérwszy się rzucę,
Ty stój w odwodzie! jeżeli nie wrócę,

Zaraz w też pędy idź z drugim oddziałem,"
Rzekł do Rotmistrza, i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknąwszy jeszcze dla zachęty:
„I jedna wiara, mówi Paweł święty!"

Z dział uderzono: i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca...
A Ostaszewski: — „Teraz na nas praca!
Marsz!" i już cały drugi zastęp w locie.
Wpadamy — patrzem, a działa w odwrocie,
I kanoniery leżą już pod koniem;
Więc za działami jeszcze chwilkę gonim,
A potém stajem kędy stały działa,
I noc zapadła — i skończona sprawa.
Równo z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.

Koło północy stanął już most nowy,
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi.

W tém rozruch na przedzie,
I głos podają — „Książę! Książę jedzie!"
Książę z raportu już o wszystkiem wiedział,

Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże
Gdzie działa stały — rzekł: „Szkoda mėj Litwy!
I jakże zginął?“

„Jak giną rycérze!“
Rzekł Ostaszewski — „jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!“
A Książę na to: „Ha, nie czas żałować,
Lecz jak rycérza trzeba go pochować.“
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. — Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami,
I na mogile ogień nałożono;
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie,
I kazał na nim złożyć towarzysza,
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie;
Aż gdy grób cały w końcu był zasuty,
Rzekł Książę tylko do obecnych tyle:
„Żył z szablą w ręku, niech leży w mogile!“
A towarzysze przyklękli na grobie,
I pieśń żałośną zanócili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiéwał,
Dziękując z serca gdy podjętym bywał:

„Czas do domu, czas,
Zabawili nas!“

A potém na koń! i samo ognisko
Gorzało tylko, bo już stanowisko
Rzuciła w końcu nawet straż ostatnie,
I ze wszystkiego pozostało tyle:
Rycérz w mogile, w sercu żałość bratnia,
I ten samotny ogień na mogile.
I długo jeszcze w żałości tajemnéj,
Kiedy już cały korpus się oddalił,
Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnéj
Stós pogrzebowy śród nocy się palił.

W kilka dni prawie po owéj przygodzie,
Stanął był korpus wieczorem przy wodzie.

Patrzę za drogą — aż drogą ktoś jedzie,
I na łańcuchu został zatrzymany;
Konie i zaprząg coś niby mi znany,
Konie myszate, bryka jakaś spora;
Ktoś wysiadł z wolna, i żołnierz go wiedzie:
Aż tu w podróżnym poznaję Rektora.

„A cóż Pan Mohort?“ pyta mnie.

— Nie żyje! —
„A więc nie darmo jadę z tą obawą?

Poległ?"

— Legł w boju jak rycérz ze sławą,
I w Boryszkowcach mogiła go kryje. —

„Ha, pokój wieczny!" — rzekł Rektor z żałobą —
„Długie to lata przeżyliśmy z sobą!
I znak niezwykły jak widzę nie myli,
Sam przepowiedział swój zgon w łasce Pańskiéj,
A o ostatniéj jego życia chwili
Ostrzegł nas w celi dzwonek Loretański."

„Po wyjściu wojska był smutek w klasztorze;
Prowadź ich Panie! ratuj wielki Boże!
Mówiłem braciom, bo słychać o bitwie,
I dzień nam cały schodził na modlitwie."

„Aż dnia jednego, przed samą wieczerzą,
Strwożeni bracia korytarzem bieżą,
Więc ich wstrzymuję i pytam — a oni
Mówią, że dzwonek Loretański dzwoni
W Pana Mohorta celi, choć zamknięta.
Patrzę na pieczęć, w istocie nietknięta,
Więc rzekłem braciom: — oto palec Pański...
Od wszego złego w modlitwie obrona...
A gdy nas wzywa dzwonek Loretański,
Módlmy się bracia — to Pan Mohort kona."

„Wziąłem gromnicę, wziąłem braci drżących,
I poczniem mówić akty konających...
I łzę serdeczną nie jeden uronił,
A dzwonek ciszéj, coraz ciszéj dzwonił,
I głos się w końcu perełką już sączył,
Ucichł — i rzekłem: — „Pan Mohort zakończył!“
I w téjże chwili korytarze jękły,
I przez sam środek drzwi od celi pękły.“

„A więc począłem: — „Wieczny odpoczynek!“

Kiedym się lepiéj rozmówił z Rektorem,
Było to prawie nad samym wieczorem
A i dnia tego i téj saméj chwili,
Gdyśmy na grobli krwawy bój stoczyli.
Na to rzekł Rektor: „wielka to otucha,
Że Bóg nas ostrzegł o téj krwawéj bitwie,
I żeśmy o nim myśleli w modlitwie,
Kiedy Pan Mohort oddawał już ducha.“

Cóż na to mowić? — ledwo do pojęcia,
Jak się to dziwnie nie raz w życiu wiąże:
Jeden był koniec Mohorta i Księcia,
I sen podobny miał przed śmiercią Książę!

Trzy dni przed Lipską bitwą mu się śniło,
Że sobie łoże pod dębem wyścielił,
I spał spokojnie choć słońce świéciło;
A w tém — z jasnego nieba piorun strzelił
I dąb roztrzaskał — po chwili już dębu
Nie było więcéj, ni słońca ni błonia,
Ale się ujrzał jeden pośród zrębu
Pustego wkoło, bez szabli i konia,
I pot śmiertelny wybił mu na czoło;
A kiedy wołał — „A na miłość Boga!
Konia i szabli!“ i rzucał się w koło...
Nadjeżdża Mohort na swoim rumaku,
Spokojny, zbrojny, jak niegdyś od szlaku,
I zesiadł z konia, i dał Księciu strzemię.

Duch wstąpił w Księcia, gdy Mohorta zoczył,
Lekko mu było gdy na siodło wskoczył,
Lecz koń już więcéj nie dotykał ziemi,
Ale się wyniósł lekko w jednym skoku,
I niby orzeł popłynął w obłoku...

Kiedy nazajutrz w oficerów kole,
Książę wesoły przy śniadaniu siedział,
I niby na żart swój sen opowiedział,
To zgasła nagle wesołość przy stole;
Choć jeden tylko był jeszcze w orszaku,
Co znał Mohorta, i służbę na szlaku.

Spostrzegł to Książę, i sam zgasł na chwilę,
A potém mówił o Mohorcie tyle,
Że serca wszystkich zajął i rozrzewnił,
I w złém przeczuciu tém więcéj upewnił.

„Był to ostatni rycérz z pod szyszaku,"
Tak kończył Książę — „ostatni od szlaku,
Dusza hartowna, wielka i pobożna;
Po nim — żołnierzem być już tylko można.

„Przed śmiercią Hetman śnił się Mohortowi,
A mnie dziś Mohort po latach tak wielu;
I któż to zgadnie? kto zgadnie, i kto wié
Czy mi nie podasz strzemię przyjacielu?
Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!
A czy od szlaku droga czy z Budziaku!

Ty strzegłeś Polski i hetmańskich szlaków:
Bóg mi powierzył dziś honor Polaków,
Bogu go oddam!"

I westchnął głęboko,
I tak daleko puścił myśl i oko,
Jakby zatęsknił za swym młodym wiekiem,
Jak gdyby śledził coś w stepie dalekim,

Jak gdyby dziejów przeszłych o coś pytał,
Albo na przyszłość w losach Polski czytał;
A potém rzucił i ręką i głową,
I z cicha nócił piosnkę Mohortową:

Czas do domu, czas,
Zabawili nas!...

Skończyłem w Krakowie 28 grudnia 1852 roku
w dzień ŚŚ. Młodzianków męczenników.

OBJAŚNIENIA.

OBJAŚNIENIA.

Tradycye w tym rapsodzie podane są tak odległe, tak nie mające żadnéj analogii z dzisiejszém naszém życiem i stosunkami, w jakie wzięci jesteśmy, iż interes czytelnika może być tu czysto-historycznéj tylko lub artystycznéj natury.

Autorowi chodziło w tym rapsodzie o wskrzeszenie jednéj tylko postaci, o skréślenie jednego tylko charakteru — i to jest stanowisko, w którémby rad ujrzał czytelnika swego.

„Oryginały nie są rzeczą powszednią: nie rosną ani jak trawa po wygonach, ani na bruku miejskim“ powiedział ktoś bardzo prawdziwie. Do ukształcenia oryginalnych charakterów, potrzeba wielkich instytucyj i potrzeba nadewszystko tego, aby się całe życie składało na wyrobienie ich oryginalności i niepowszedniéj fizognomii.

Odkąd pióro historyczne przeszło u nas w ręce ludzi nie mających politycznego stanowiska, nie kréśli się historya żywemi wielkiemi rysami, bo zginęła nić wielkich historycznych tradycyj, a księga dziejów ojczystych stała się lamusem analitycznych rozbiorów i uczonych drobiazgów, zwróconych obliczem ku szkole albo ku widokom stronnictwa z którego wychodzą pisarze.

Z upadkiem narodowych tradycyj zabrakło dla historyka wątku, dla narodu właściwego stróża historycznéj puścizny; i księga dziejów staje się księgą bez znaczenia dla serc, dla rozumów, dla dążności nieobjętych szkołą lub stronnictwem.

Czy to dobrze? nie wiem; ale to wiem, że artysta, że poeta i wszelki człowiek szukający w dziejach zasiłku dla siebie, szukać go musi albo w historykach odleglejszego czasu, albo w żywych tradycyach aż dotąd krążących w narodzie (co podobno na jedno wychodzi) jeżeli się chce utwierdzić w zacnych przekonaniach swoich, jeżeli chce zaczerpnąć ze zdroju życia i żywym dać żywe, albo w sobie ożywić co życie dać może. Za naszych tedy czasów tyle ma każdy historycznych wiadomości, ile sam przez siebie i za pomocą środków mu służących zdobyć zdoła.

Dla anatomów i patologów historycznych wartoby w naszych czasach filantropii osobny urządzić szpital i naukowo-polityczną i polemiczną klinikę: w tym kierunku nie ma ani prawdy ani życia. Na szczęście, żyje i czerpie nasza poetyczna literatura jeszcze z innego

źródła, ze sfery tradycyj, które starsze od książek przetrwają książki przy pomocy Bożéj i przy miłości kochającego serca.

Z téj to sfery wzięta jest postać Mohorta. Winien ją jestem P. Ksaweremu Krasickiemu z Bachorca, byłemu Majorowi Kawaleryi narodowéj, przyjacielowi i dobrodziejowi memu, z którym razem kilka lat najszczęśliwszych życia przeżyłem; winien ją jestem P. Kazimiérzowi Ostaszewskiemu z Zarszyna, b. Rotmistrzowi Kawaleryi narodowéj, który pod Mohortem na krésach ukraińskich długo służył i już r. 1794 dwadzieścia i pięć lat wojskowéj służby sobie liczył. Winien jestem w końcu niektóre tradycye o Mohorcie P. Antoniemu Dembińskiemu z Nienadowéj, który w czasie bitwy na Boryszkowskiéj grobli 1792 r. batalionem strzelców pieszych dowodził, i Księciu Eustachemu Sanguszce, który w czasie ostatniéj już swojéj bytności w Gumniskach o Mohorcie mi mówił.

Tradycye te zebrałem i podaję je w téj formie, w jakiéj na mnie przeszły, bo to wydało mi się najwłaściwszą rzeczą; jakkolwiek ten rodzaj odstępuje od wszelkich aż po te czasy sformułowanych rodzajów poezyi.

Mohort jest jedną z takich istot, który przeżywszy kilka pokoleń, był niejako nicią narodowych tradycyj i żywym pomnikiem przeszłości; tak przynajmniéj pojąłem go z podania starszych i w tym duchu usiłowałem skréślić postać jego.

Zaledwo uwierzyć można było temu co o nim starsi mówili: Za szwedzkiéj ostatniéj wojny r. 1709 był już Namiestnikiem, a w bitwie na Boryszkowskiéj grobli roku 1792 poległ licząc wtedy 80 lat służby wojskowéj: bywszy za panowania Stanisława Augusta najstarszym w całym kompucie oficerów i chorągwi stojących na ukraińskich krésach.

Życie w chorągwi miało oddzielną cechę; na tém pograniczu stepowéj Ukrainy wyrabiały się odrębne charaktery, i wiernie starałem się z tradycyi pochwycić te odrębne rysy i tony, które w historycznym żywocie starożytnéj Polski, jeden strojny składają akord, dopełniając obyczajowo-publiczne i prywatne życie narodu.

Kalenickiemi wieczorami nazwałem tu zebrane tradycye, bom je od P. Ksawerego Krasickiego w Kalenicy słyszał. Wieś Kalenica jest główną w kluczu dóbr górskich rodziny Krasickich, mieszkałem w niéj lat parę; leży niedaleko pod Beskidem przy granicy węgierskiéj na zejściu się dwóch rzék Tarnawki i Kaleniczki. Szumy téj Kaleniczki pod oknami dworu na jaz wziętéj, umilały mi pobyt w tym samotnym dworze wśród bardzo pięknéj okolicy położonym, ale bardzo odludnie i daleko od świata. Dobra Liskie należą do tych niewielu dóbr ziemskich, które nigdy jeszcze nie były sprzedane, ale zawsze szły puścizną po kądzieli, i od Kmitów, Stadnickich, Ossolińskich i Mniszchów do Krasickich przeszły.

Nr. 1.

I jadąc w pole z sokołem na pięści.

Przed laty 80. znane było jeszcze polowanie z sokołem na Ukrainie, najcenniejsze jednak sokoły sprowadzano już w owym czasie z Ukrainy zadnieprskiéj a właściwie z Krymu, i Pan Ksawery Krasicki mówił mi, iż cena ich była tak wysoką, że za dzielnego unoszonego sokoła trzeba było dać trzy dobre wierzchowe konie stadne. Młody sokół nazywał się Maiż, dzielny i już wyprobowany Ćwik, także Nurek. Sokół co uderzał na stepowego łabędzia był za dzielnego i silnego miany; ten co zbił drugiego sokoła, za dzielniejszego, a za najdzielniejszego ten, który z wysoka uderzał na czaplę i mimo jéj obrony zbił ją. (Czapla przewraca się bowiem na wznak w powietrzu zagrożona od sokoła i nastawia piersiom jego dziób.) Do sokołów byli osobni ludzie sokolnikami zwani. Sokół siedział zwykle w przedsionku zamku lub dworu w sieniach, na berle, z kapturkiem na głowie który go ślepił, bo to go łagodniejszym czyni, przywiązany do berła za dłużec to jest

rzemyk. Lubiono go dla tego miéć w sieni, bo kwili przededniem jak jutrzenka wschodzi i daje znać o świcie; ztąd przysłowie:

Chart się zrywa, sokoł kwili,
Będzie dzień po chwili.

Kiedy wyjeżdżano na łowy z sokołem, noszono go na pięści, zakrytego kapturkiem, trzymając za dłużec, a rękawica z grubéj łosiowéj skóry chroniła rękę. Gdy pies stanął albo myśliwy upatrzył ptaszkę, zrywano sokołowi kapturek z głowy, w ów czas wynosił się w górę i upatrując ptaszkę ważył się nad nią, uderzał z góry pędem błyskawicy, a położywszy ją wracał do myśliwego na świstanie i wołanie „Kubuś! Kubuś!" do którego nawykł przy żérze. Przed polowaniem głodzono sokoły, po zdobyczy dawano im odprawę. Sokoła głaskając wypada go gładzić po piersi, od głaskania po grzbiecie dziczeje i staje się płochym.

Nr. 2.

Kiedy mnie ojciec z Dubiecka wyprawiał
W drogę na krésy.

W Dubiecku mieszkał P. Antoni Krasicki, ojciec P. Ksawerego, i miło nam odnowić ślady tych co tu przed nami byli. Franciszek Karpiński, który patrzał jeszcze na dwór P. Antoniego Krasickiego tak się wyraża o nim w swoim wiérszu:

Z Dubiecka, gdzie Pan miejsca w dawnéj swéj dziedzinie,
Staropolską szczérością i cnotami słynie,
Gdzie z nim żona przykładna pouczyła dziatki,
Że jedne pełnią cnoty przed oczyma matki,
Drugie patrząc z pilnością na starszych przykłady,
Myślą: „I my téż kiedyś pójdziemy w ich ślady.“

Pan Antoni był rodzonym bratem Księd. Biskupa Warmińskiego Ignacego Krasickiego, i synowie téż jego pobiérali edukacyą na dworze Księcia Biskupa w Heilsbergu. Syn najstarszy P. Ignacy bawił tam najdłużéj, krócéj daleko P. Ksawery, który miał od piérwszéj młodości wielką ochotę do wojska i kształcił się pod okiem światłych kanoników tamtejszéj kapituły kks. Kremera i Chatyńskiego. Kilka lat przed śmiercią odebrał był P. Ksawery list od ks. Chatyńskiego (któremu dano przydomek v. Hatten) gdy tenże na stolicę Warmińską wstąpił; kilkadziesiąt lat leżało pomiędzy ostatniém widzeniem się a tym listem ks. Biskupa Chatyńskiego pisanym do P. Ksawerego, pełnym rzewności pobożnego starca i wdzięczności dla porzednika i dobrodzieja niegdyś swego Ks. Biskupa Warmińskiego stryja P. Ksawerego. Żałuję że tego listu przytoczyć w całości nie wypada, bo dałby wierny obraz położenia téj dyecezyi w dawnych i dzisiejszych czasiech.

P. Ksawery czując powołanie wojskowe w sobie, zrywał się niecierpliwie na dworze Księcia Biskupa, a

gdy Biskup życzył tego koniecznie aby przed rozpoczęciem wojskowego zawodu ukończył pod okiem jego edukacyą, opuścił dwór jego tajemnie i już siadał na okręt w Gdańsku chcąc odpłynąć do Francyi, gdzie pod ów czas wielu Polaków służyło wojskowo w gwardyi królewskiéj, gdy go dościgła pogoń Ks. Biskupa wysłana za nim; do Heilsberga zwróconego, powitał stryj tylko tak lekkim wyrzutem: Nie wiedziałem mój Ksawerku żeś tak gorąco kąpany, a kiedy ci tak pilno w świat i do wojska, to idź tam gdzie nasi sługiwali, i odesłał go bratu do Dubiecka wnosząc za nim instancyę, aby mu wolno było zaciągnąć się do wojska na ukraińskich krésach: przybywszy tedy w Sanockie, zabawił niejaki czas w Dubiecku i ruszył na krésy.

Starałem się nie tylko w całém opowiadaniu ale nawet w pojedynczych zwrotach mowy i w sposobie wyrażenia się zachować pamięć P. Ksawerego, dla tych, co go razem ze mną kochali i czcili. Nie znałem nigdy człowieka tyle poetycznych a zarazem rodzinnych usposobień i myśli. Wszystko było tu jeszcze całe i w zgodzie z sobą: rozum, serce, słowo, siła, obyczaj; równa cześć dla prawdziwego postępu i przeszłości, dla doświadczenia i badań, głębokie religijne przekonanie, gorąca miłość bliźnich.

P. Antoni Krasicki należał do Konfederacyi Barskiéj, i z owych to czasów musiał mieć wprost lub

pośrednio styczność z P. Mohortem, i kiedy syna wyprawiał na szlaki, dał mu do P. Porucznika listy.

Tu trzymałem się ściśle nici opowiadania: nie ma wprawdzie zwyczaju wyprowadzać na scenę bohatéra poematu śpiącego, ale ten śpiący Mohort na koźle w strażnicy, wydał mi się dziwnie poetyczną istotą, i ta scena w opowiadaniach P. Ksawerego złożyła mi się do razu w kształcie rapsodu. Mohort na koźle drzymiący w stannicy, dał mi prawdziwe wyobrażenie starego rycérza na krésach ukraińskich czuwającego wiecznie, jak żóraw na straży. Kiedy mnie ten obraz pochwycił, rzekłem P. Ksaweremu: „ja to opiszę“. Żachnął się i przestał opowiadać; „jak to?“ zapytał: „to Panowie zaraz wszystko na piórko bierzecie? tradycya ma być żywą a nie pisaną.“ I wiele ubiegło czasu zanim mi się udało naprowadzić P. Ksawerego znowu na wspomnienie młodości jego. Jakoż póki żył, nie śmiałem się jąć tego przedmiotu; ale kiedyśmy go stracili, z każdym rokiem rosła większa tęsknota, za każdém jego słowem, a śród ucisku czasu i duszy, uciekałem się jak po pociechę do tych wspomnień, i dawno zaczęty rapsod nie kończyłem dla tego tylko, aby żyć śród tych obrazów i wspomnień jak najdłużéj. Dziś wysyłając Mohorta w świat, pragnę aby ściślejszym jeszcze węzłem połączył mnie z tymi którzy razem ze mną pamięć P. Ksawerego czcić nie przestali. Pragnę aby ta praca miłą była jego jedynemu synowi P. Edmundowi Krasickiemu i wnukom jego: Michasiowi któremu jeszcze dziad błogosławił i szablę

swoję darował, Ignasiowi i Stasiowi aby byli dziedzicami cnót jak są dziedzicami—imienia i krwi.

Nr. 3.

Więc drogą spinkę, strojne czaple pióro,
Rysia na kołpak.

Jak ojciec w rodzinie szlacheckiéj wyposażał zwykle syna sygnetem jako klejnotem rodu, tak był zwyczaj że matka chowała swe perły dla córek, a klejnociki na spinki dla synów; w możniejszych zaś rodzinach dodawały jeszcze matki do spinek i czaple pióro.

Wiadomo jest: że czapla ma tylko w czubku lśniace pióro, i bardzo wiele czapli na to potrzeba aby złożyć z tych piórek kitkę ozdobną. Myśliwi wstawali do świtu, i był to staropolski figiel brać szczęście u Pań i panien przed wyjściem na łowy. Gospodyni domu opędzała się zwykle surowo tym żartom, i sam jeszcze pamiętam jak szanowna mawiała matrona: „A co mi tam z was, co wy zabijecie to ja na palcu upiec każę; a zresztą pozwolę wziąść szczęście, ale proszę dla siebie o czaplę“. Kto się téż chciał Pani przysłużyć, ten i dostał czapli koniecznie, gdyby ją nawet miał kupić. Długoletnią tedy starannością niewieścią rosły czaple kitki i szły puścizną po babkach i matkach w bardzo nawet ozdobnych a szczelnych szabaturah przechowywane.

Kołpak rysi z czaplém piórem stanowił już największy strój; jak czaple bowiem pióra, tak były rysie od dawna już cenne, a ztąd pospolicie tylko na kołpaki używane. Za mojéj pamięci zabito w Liskich lasach dwa rysie. Polowanie na rysia jest niebezpieczne, bo psuje bardzo psiarnię, a przyparty ostro ryś rzuca się nawet na ludzi. Psy się zwodzą: bo skoro na drzewo skoczy, ginie trop i psy ucinają, jeżeli go jeszcze nie wzięły na oko. Pamiętam polowaliśmy z P. Ksawerym nad Liskiem, na górze Czulnia zwanéj. Założono na sarny, psy zagrały, lecz po chwili, lubo strzał nie padł, ucięły nagle. Ile towarzyski, łatwy w pożyciu, łagodny i pobłażający, nabiérał P. Ksawery dziwnéj surowości w kniei, i nie raz i mnie i swego syna P. Edmunda zfukał straszliwie, gdyśmy mu się niezręcznie powinęli, albo za ostro używali koni na polowaniu z chartami. Raz, pamiętam, spiéraliśmy się z P. Edmundem o jakieś miejsce w Długoszu, kiedy całe polowanie szło już gorąco na dzika. — „A czy mnie djabli tych kronikarzy nadali! będziesz ty miał Długosza jak cię dzik spłata. Czuj duch! konia w kupę! strzelbę z wytoku! na oszyjek lasu!“

Otóż kiedy psy ucięły, wstrzymał się P. Ksawery i rzekł do mnie po chwili: „To nie przelewki, to ryś. Stać! ja go dojdę.“ I jakoż naprzód strzelił Grzegórz myśliwy, a potém P. Ksawery i po raz piérwszy w życiu widziałem rysia. Uwiązano go do drzewa za nogi, a do łba wiązano tak ciężkie kamienie że się cały wycią-

gnął jak stróna, i w ów czas to dopiéro wystąpiły na skórze ozdobne ciemne centki jeszcze widoczniéj. Przy rysiu została straż w lesie aby zastygł należycie „na strónę wzięty“ a my powróciliśmy z wielkim tryumfem na Posadę Liską. Cicho, ale rad jechał P. Ksawery, i powtarzał sobie: „Alež wąsy, wąsy, jakież miał wąsy!“

Sześć, ośm, do dziesięciu godzin jeździł P. Ksawery dziennie konno; wszystkie podróże odbywał konno, a jesienią wziąwszy kilku przyjaciół i charty spuszczał się z gór Sanockich na równiny i dwa, trzy a nawet cztéry tygodnie, szczuł na równinach pomiędzy Podgórzem i ujściem Sanu; nie raz nawet zapędzaliśmy się aż do Baranowa nad Wisłę, i polowanie takie miało wiele podobieństwa z kampanią, bo o świcie byliśmy już na koniu, a przy świécach siadaliśmy do stołu codziennie w innéj stronie i w innym dworze. Z każdym dniem powiększało się grono myśliwych i szczwaczy. W taki to sposób odwiedzał P. Ksawery starych przyjaciół, zapowiadając dniem wprzódy przybycie swoje przesłaniem kilku zajęcy przez jednego z myśliwych gospodyni domu. P. Stanisław Prek z Łopuszki stary przyjaciel domu i wojskowy towarzyszył mu zawsze w całéj téj podróży, i zwykle już śniég polatywać poczynał gdyśmy burkami otuleni z takiéj wyprawy w góry nasze wracali i przy kominku w Bachorcu rozpamiętywali następnie całe dzieje polowania. Wszystko to było dla nas historyczne: i ten sławny Kieresz, podżary chart, i ta

Szpilka pochodzenia angielskiego, charciczka jakby z porcelany wyrobiona, która bez obrotu brała, i ów Bobik na srokatym koniu zawołany szczwacz który dopiéro w ów czas ognia nabiérać poczynał gdy się słońce do zachodu chylić zaczynało, i gdy już wszyscy myśliwi i wszystkie konie ustawały.

Do śmierci zachował P. Ksawery ten sam sposób życia, a cały skład jego dworu świadczył o starych tradycyach domu i młodości na ukraińskich krésach spędzonych. Lubo co do wyobrażeń postępował nie tylko z wiekiem ale nawet z dniem każdym, nie znałem człowieka równie starożytnego co do obyczaju, równie nowoczesnego co do znajomości wypadków historyi bieżącéj. Umysł zawsze jednostajnie spokojny i pogodny, nigdy w niczém niezachwiana wola, wielka prostota, w pojmowaniu wypadków sąd zawsze krótki, doraźny a trafny.

Raz wracał z polowania z pod Beskida: w tém biegnie na przeciw z folwarku posłaniec, i donosi że cały folwark zgorzał.

„A obiad?“ zapytał P. Ksawery. Na to rzekł posłaniec: „Franciszek z rądelkami uratował się z ognia.“

„No, to pospiesz że, niech nam dadzą obiad we młynie a folwark się postawi“ rzekł obojętnie, i nie było już więcéj mowy o téj rzeczy, chociaż był bardzo rządny i wszelkiéj zapobiegał stracie.

Przed śmiercią miał wypadek na polowaniu. Odyniec wypadł tak nagle strzałami zfukany iż zaledwie

strzelić mógł do niego. Odyniec podciął konia, P. Ksawery powalił się na ziemię, a psiarna sfór cztérdziestu przysiadła odyńca, który już kilkoma kulami raniony z całą wściekłością uderzył na P. Ksawerego. Dzik ranił go parę razy kłami, a psiarnia osaczyła dzika na P. Ksawerym; sławny drążkowy kundys Rozbój przyległ mu sobą kark i szyję. Gdy myśliwi przypadli i z trwogą ujrzeli Pana pod dzikiem i psami, rzekł P. Ksawery do Michałka: „Powoli, uważnie, a pal w ucho dzikowi.“ Jakoż tak się stało: dzik po wystrzale rzucił się straszliwie i odwalił się na stronę, a P. Ksawery powstawszy rzekł obojętnie: „Ależ piękna bestya, łeb jego trzeba będzie przybić w Posadzie Liskiéj nad stajnią.“ I jakoż świécą kły tego dzika podziśdzień nad stajennemi drzwiami na Posadzie Liskiéj. P. Ksawery nie polował przez lat parę na dzika; aż gdy znowu dzika zabił, rzekł do mnie: „Będę żył póki zechcę, kiedym znowu dzika zabił.“

Mój Boże! czuję to, iż objaśnienia pisać miałem, a w pamiętniki wpadam, dla których w innym czasie miejsce może dogodniejsze będzie.

Nr. 4.

Bo tam na wschodzie od wioski Bachłaje,
Już ów tatarski „Czarny-szlak“ nastaje.

Minąwszy Konstantynów-Stary, pada wzrok na

wielkie, zaledwo okiem objęte równiny; od wsi Bachłaje poczyna się tak zwany Czarny tatarski szlak, na którym w odleglejszych wiekach przypada wędrówka narodów, na którym w późniejszych przypadają zagony Połowców, Tatarów i Kozaczyzny. Szlak ten poczynający się od wsi Bachłaje na zachodzie, przechodził na wschód aż do Czarnego-lasu na Ukrainie, w którym się zbiérała czerń najeżdżająca przez kilka wieków Ruś i Polskę. Czarny-szlak ciągnie się pomiędzy wierzchowinami wód, i kilka ramion odrywa się od niego wiodących do Kremeńczuka, Kijowa, na Litwę, na wierzchowinę, Podole, a nawet aż w Bełzkie. Na południu łączy się Czarny-szlak z szlakiem Kuczmańskim, Multanami, który ostatecznie w Siedmiogrodzkie, Wołoskie i Ormijańskie przechodzi szlaki. W tradycyach staréj Polonii na Ukrainie osiadłéj lub wojującéj znany był Czarny-szlak per excellentiam pod nazwiskiem „Hetmańskiego szlaku.“ Bo juźciż po tym samym zagonie odpiérali Hetmani najeźdzców, po którym oni wpadali.

Nr. 5.

Hej! gdzie Krym? gdzie Rzym? gdzie
Karczmy Babińskie?

Znane przysłowie na Rusi, oznaczające rzeczy bardzo rozstrzelone w świecie. Karczmy Babińskie leżą samotnie na Czarnym-szlaku i są znane na całéj Ukrai-

nie każdemu co przebył drogę poprowadzoną jak mówiłem wierchowiną stepów.

Nr. 6.

Kędy na krésach wojska narodowe
Od ujścia Rosi począwszy, już stały.

Ostatni garnizon wojskowy, mówił mi P. Ksawery, zastał jeszcze w Kamieńcu - Podolskim, kiedy jechał na ukraińskie krésy. Następnie zaś nie było już wojska jak aż znowu na ukraińskich krésach, gdzie od ujścia Rosi do Dniepru aż po ujście Siniuchy sześć chorągwi lekkich konnych strzegło pogranicza. Krésy oznaczały tedy w istocie liniję wojskowego pogranicza od Kozaczyzny i Ordy tatarskiéj, siedzących pod ów czas jeszcze na ujściu Dniepru i na dolnym Dniestrze.

Nr. 7.

I rzekł, że w miejscu stanąć jeszcze mogę
Na piérwszéj luce, nim słońce zapadnie.

Miejsca na linii krésów, w których załogą stały wojskowe komendy, nazywano lukami, i na lukach tylko można się było przeprawić przez granicę.

Nr. 8.

A od téj półki wisiały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał.

Wielka prostota cechowała wszelkie urządzenia

na ukraińskich krésach. Dla regularnéj zmiany straży potrzebnym był zégar; ale że zégara nie było, robiono tak zwane knotki, to jest sznurki jednostajnéj grubości, które były w tyle węzłów zawiązane ile godzin noc miéwała.

Knotki te były prochem przetarte w sposobie lontów; wszak gdy się zdarzało, że jeden lont w ten sposób w węzły zawiązany mógł zgasnąć, ztąd, by liczby godzin nie tracono, zapalano dla bezpieczeństwa na raz trzy lonty, podług których po węzłach wypalonych godziny nocne liczono; trzy haczyki były tedy umieszczone u półki, na któréj stał kaganek w strażnicy.

Nr. 9.

Był to P. Mohort.

Rodzina Mohortów pochodzi z szlachty litewskiéj. Mohort z krésów ukraińskich był ostatnim z swojéj dzielnicy, ale zapewnie nie ostatni z swojego rodu, bo mi mówił P. Piotr Moszyński, że w młodości swojéj miał nauczycielem młodzieńca tego nazwiska; więc być może, że jeszcze jacyś Mohortowie żyją.

Nr. 10.

Już tu nie jeden piérwsze żołdy czynił.

Wyrażenie staropolskich wojskowych; piérwsze żołdy czynić, znaczyło toż samo co poczynać służbę wojskową.

Nr. 11.

Hajnał krakowski odgrali trębacze.

Ejnał, hejnał, hajnał słowo węgierskie, *Hg. haynal aurora: Pannones excubitores sub auroram sibi accinunt.* U nas tedy znaczy pieśń budzącą. — Niż jutrzenka nad obozem wschodzi, Muzyki hejnał otrąbią krzykliwy. Chrościński Farsalia. — Rano zaraz probować chcą swéj fortuny, i zagrzmiéć ogromnemi hejnał pioruny. Twardowski Władysław. — Hejnał wszyscy zaśpiéwajmy. Eja Pieśń. — Poczciwemu nie trzeba stróża z hejnałem na wieży, bo już stróżem u niego cnota. Rej Zwierz. — Hejnał utrapionéj Koronie Polskiéj: Hejnał świta! Febus wstaje! Kochowski. — W Krakowie dawniéj na wieży P. Maryi przez kilka niedziel przed Bożém Narodzeniem, zacząwszy wnet po północy aż do świtu na dętych instrumentach grano, aż do samego dnia Bożego Narodzenia, i to tam także zwano hajnał. Hajnał krakowski składa się z trzech pieśni na cześć Matki Boskiéj, odgrywany na trzech trąbach ze szczytu Maryackiéj wieży w Krakowie. Te same pieśni bywały na pobudce otrąbiane w chorągwiach polskich od wieków. Zdaje się, że gdy pieśń Boga-Rodzico zaprzestało śpiéwać rycérstwo, zastąpiły miejsce nowsze pieśni na cześć N. Panny hajnałami zwane.

Nr. 12.

Ptaku mój, ptaku pancernego znaku.

Było to przysłowie P. Mohorta.

Nr. 13.

A ztąd do razu kraj się rozkrył cały.

Jest upowszechnione wyobrażenie jakoby cała Ukraina była krajem zupełnie równym, co przecież tak nie jest.

Na téj ogromnéj przestrzeni, któréj geologiczną podłogą w znacznéj części jest tak zwana płyta stepowego granitu, odkrywają się pojedyncze okolice rzadkim urokiem pięknych widoków natury. Sam step zapewne ma coś jednostajnego, zwłaszcza dla tych, co nic w nim, na nim i w sobie upatrzyć nie umieją; ale nad brzegami stawów i rzek, gdzie się z pod pokładu żyznych ziem odsłania i wychyla płyta stepowego granitu, lub wapieni przypiérających o ścianę granitów, uderzają duszę widoki rzadkiéj piękności, zwłaszcza nad brzegami rzék większych, gdzie albo ludzka ręka podparła naturę, lub gdzie czarne lasy i dąbrowy obsiadły zabrzeże. Rzadko uśmiéchnie się Ukraina niepowszednim wdziękiem natury, ale gdzie się uśmiéchnie, tam jest jéj wdzięk tak oryginalny i uroczy, iż nic nie może iść z nim w porównanie. Skaliste brzegi i skaliste wyspy na brzegach ujrzéć otoczone szumem wód spienionych, a umajone

zielonością starodrzewia po jednostajnym i szérokim oddechu wonnych stepów, jest to widok tak nagradzający, że przy nim możnaby zapomniéć nawet o górskich widokach.

Do najokazalszych wszakże należą niezawodnie widoki brzegów dnieprowych, o które niegdyś przypiérały krésy.

Nr. 14.

Humańskiéj rzezi pamięć była świéża.

Dwie wielkie klęski przeszły przez Ukrainę na lat wiele przed przybyciem P. Ksawerego na krésy, a jednak była ich pamięć bardzo jeszcze świéża gdy tam P. Ksawery przybył: mówię tu o dżumie i humańskiéj rzezi. Dżumę powściągnął kordon wojskowy wyciągnięty kosztem Szczęsnego Potockiego, i od tego czasu poczęła się datować jego wziętość; rzeź humańską upacyfikował Regimentarz Stępkowski; tradycye jednak pozostały długo bardzo żywe tak po dżumie, jak po rzezi. I od owego to już właściwie czasu poczęła się zmieniać postać polskiéj Ukrainy. Majątki wielkich panów przeszły w inne ręce, wiele mniejszych rodzin szlacheckich przeniosło się do innych prowincyj, z pograniczem wreszcie usunęli się Tatary i znikli Kozacy; tak że cała postać kraju zmieniła się zupełnie w przeciągu prawie jednego pokolenia.

Nr. 15.

A za nim siedział na kuli zégarek;
Tak zwał koguta co go woził z sobą.

Użycie koguta na strażnika i za zégar zdaje się być odwiecznéj praktyki na Rusi. Prządki budzi kur do świtu, z kogutem wożą się solarze, z kogutem Czumaki i Wałki. Po sadach i winnicach wiązano dla czujności koguta z dzwonkiem u nogi, a w wojsku miéwał trębacz koguta na siodle za sobą, który znać dawał kiedy zmieniać straże po północy.

Nr. 16.

Kiedyśmy krésów objeżdżali kraniec,
A noc zapadła nas czasem na stepie,
W ów czas rozpalał Kafarek kaganiec.

Dotąd jeszcze używają do nocnéj podróży na Ukrainie kagańca, którym człowiek konny przyświéca przodem. Jest to ruchomy koszyk żelazny na drążku osadzony, w który się rzucają smolne gałki w ciągu nocnéj podróży; kaganiec daje wiele światła; Kozak ma na sobie torbę z zapasem palnych gałek. Na krésach ukraińskich miał w wojsku trębacz obowiązek świécenia kagańcem.

Nr. 17.

Lub się w pochodzie charty rozweselić.

Z umysłu nie jeździł P. Mohort nigdy na polowanie, ale lubił to aby charty były przy chorągwi, i szczuł nie raz gdy się co mimochodem pomknęło.

Nr. 18.

I nie jednemu i wilki darował.

Do praktycznych przyborów obozowego życia dawnych wojskowych należały wilki; był to dywan z wilczych skór zeszyty suknem lub samemi krajkami z sukna podszyty, który służył na posłanie i nakrycie: w obozie na leżach służył na okrycie łóżka, w marszu do okrycia juk, z tą tylko różnicą, że podług pory roku i potrzeby obracano wilki włosem albo suknem do góry lub na dół.

Nr. 19.

To dla junaków są tu inne skoki.

Za mołojca w Kozaczyznie był tylko ten miany, kto w pław na koniu przepłynął Dniepr, na arkan wziął konia z tabunu i przejechał się na nim, a w końcu kto w czajce spuścił się ze wszystkich porohów dnieprowych. Junaki wszakże w chorągwiach polskich

co to lubili i z Kozaczyzną i Tatarami chodzić o lepsze, kasali się nie raz na podobne sztuki, a nawet sam Książę Józef w czasie pobytu swego na Ukrainie chcąc być na jarmarku w Perejasławiu za Dnieprem przepłynął w pław Dniepr. Ktoby był zgadł w ów czas, że ten, który Dniepr bez szwanku przepłynął, w drobnéj Elstrze utonie! Książę Eustachy Sanguszko tak mi opowiadał ten wypadek. Pani Jenerałowa Pupardowa chiała widziéć sławny jarmark Perejasławski, dokąd z końmi i tabunami przybywali Tatarzy, Grecy i Turcy, i gdzie tą razą miał być i Koszowy. Zapowiedziano sprzedaż sławnych koni, a że Jenerałowa jeździła prześlicznie na koniu, więc chciała nabyć dla siebie dzianeta, i razem z mężem, z siostrą i z kilkoma wojskowymi udała się do Perejasławia. W dzień po jéj odjeździe dowiedział się o tém Książę Józef: wezwał Księcia Eustachego Sanguszkę, i kiédy do Dniepru przybyli, znaleźli tylko małą łódkę na brzegu; czajki ani bajdaku nie było. Książę nie ufając chytkiéj łódce, chciał się puścić w pław; na to rzekł mu Kozak: „Koły wam tak potrybno, to siadajte na moho konia, bo toj was zahubyt; bo win czerez Nipr ne chodył.“ Toż samo zrobił także i Książę Eustachy: rozebrawszy się, przesiedli się na konie kozackie, a Kozacy wsiedli w łódkę, wzięli ich rzeczy do łódek a konie na powódki w bród. Szczęśliwie przebyli Dniepr i przybyli do Perejasławia, gdzie zastali P. Jenerałową Pupardową z całém towarzystwem. Koszo-

wego nie było, ale był Assawuła Mużyczeńko, który Księcia Józefa z wielkiemi podejmował honorami jako królewskiego synowca.

Książę Eustachy rzucił coś grubo Kozactwu, które z Assawułą było, i kazał dać poczesne, poczém Kozacy zdjęli obu z koni i poczęli ich na ręku nosić i podrzucać w górę. „Ty budesz naszym Korolom,“ wołali na Księcia Józefa, i poczęli uprowadzać z sobą Księcia. Nie dobra byłaby się z tego historya zrobiła, i Assawuła byłby pewno wielkiego okupu zażądał za Księcia, gdyby nie baczność Mohorta. Mohort miał zawsze przy Księciu starszego krésowego, który mu o wszystkich czynnościach i ruchach donosił. Skoro się dowiedział, że Jenerał Pupard i Książę pojechał do Perejasławia, przeprawił się niżéj od nich przez Dniepr w kilkadziesiąt koni. Zostawił straż przy czajkach, pospieszył do Perejasławia, i przybył tam właśnie w téj chwili kiedy Kozacy uprowadzili Księcia Józefa i Księcia Eustachego z sobą. Stanąwszy w porządnym szyku, kazał dać ślepemi ładunkami ognia. Straszny to zrobiło popłoch na Perejasławskim jarmarku: ale Kozacy ujrzawszy Mohorta, pomiarkowali że rzecz pójdzie na seryo, i puścili Książąt. Książę Józef chciał tę rzecz jakoś załagodzić, ale Mohort nie dał i chwili oddechu, zabrał wszystkich z sobą i przeprawił przez Dniepr napowrót.

Dwa razy, mówił mi Książę Eustachy, byłem tak osobliwie podejmowany w obcym kraju: raz za Dniep-

rem, a drugi raz w Wenecyi, kiedym w młodości mojéj po raz piérwszy zwiedzał Włochy. Przybyłem do Tryestu, a nie znalazłszy stósownéj okazyi do przeprawy, posłałem dworzanina mego, aby z Wenecyi sprowadził mi barkę. Gdy się o tém Senat wenecki dowiedział, przysłano po mnie dożowską galerę, a na niéj przybyło dwóch deputowanych od Senatu zapraszając mnie do Wenecyi: przybywszy tam, wysiedliśmy przed pałacem Dożów i posłowie wprowadzili mnie do Senatu, gdzie mię jeden z członków w obecności Doży taką mową powitał, jakbym był posłem Rzeczypospolitéj, chociaż nie miałem nad lat 19 w ów czas, i chociaż dobrze wiedziano o tém żem tylko partykularnie zwiedzał Włochy. Stanąłem w pałacu poselstwa, a wieczorem wezwał mnie Doża do swojéj loży w teatrze, gdzie grano w ów czas sławną operę: „Cosa rara.“

Z tych czasów ukraińskich przypominam jeszcze sobie jednę anegdotkę. Książę Józef wyprawiał częste baliki i podwieczorki dla Pań po futorach: zdarzyło się tedy że całe towarzystwo przejeżdżało często koło dworu Skarbnika Pyszyńskiego, poważnego szlachcica, który od wiela bardzo lat był w dobrém zachowaniu z P. Mohortem. Do wioski trzeba się było spuszczać jarem, i pominąwszy dwór, wyjeżdżać w górę znowu jarem, naprzeciw dworu był dosyć duży staw. Gdy sobie P. Skarbnik zmierził przejażdżki owego towarzystwa po pod bramą swoją, kazał przekopać groblę, utkać przerwy, i czatować ludziom gdy się całe towa-

rzystwo jarem spuści ku dworowi. W ów czas to odetkano przerwy i woda buchła tak nagle, że po chwili brodziły już wszystkie konie po brzuchy w wodzie, że nie było już rady innéj jak zajechać na dziedziniec który na powyższéj leżał spłazinie, bo woda zalała cały wąwóz i drogę. Szlachcic dokazał swego: bo ci co go mijali, musieli się wpraszać na gościnę. Podjął téż całe towarzystwo honeste, i kiedy po niejakim czasie za mąż wydawał wnuczkę, prosił Księcia z całym sztabem w dom swój na wesele.

Przybył i P. Mohort na przepysznym koniu i drogim tureckim rzędzie. Kiedy przyszło do oczepin, chciano pannę młodą sadzáć na dzieży, zwyczajem przyjętym na Rusi; zgorszył się tém P. Mohort że już szlacheckiego zabyli obyczaju; poszedł na dziedziniec i zdjął siodło z swego konia, posłał tyftyk na ziemi, położył na nim tureckie siodło i rzekł: „Nie na dzieży, ale na tureckiém siodle czepi się szlachecką córę, aby rycérskich rodziła synów."

Nr. 20.

A od Hetmanów dane artykuły
I straż graniczna — była aktem wiary!

Jak władza hetmańska rozwijała się z przeciągiem wieków, tak téż i artykuły hetmańskie które obejmowały regulamin siły zbrojnéj stojącej pod wodzą Hetmanów,

rosły tylko zwolna. Początkowo rządziło się wojsko tylko wolą książąt i królów, a praktyki wojenne przechodziły następnie w tradycye i prawa hetmańskie, gdy już nie królowie i książęta wodzili wojska za sobą. W późniejszych czasach spisywano artykuły hetmańskie, i sądzę, iż nic nie byłoby bardziéj zajmującém jak skréślenie dziejów władzy hetmańskiéj: bo w Rzeczypospolitéj dzierżyli właściwie tylko oni i Biskupi władzę. Najwięksi téż ludzie nasi dawali pastorałem tylko i buławą kierunek dziejom narodowym. W skutek instytucyi podzielona władza skupiała się tylko pod pastorałem i buławą, i tu leży podobno klucz do dziejów. Dzieje kościoła polskiego i dzieje obozów hetmańskich są właściwie dziejami narodu; po za niemi nie leży nic prócz jednéj Akademii krakowskiéj: chociaż i ona tylko część niższego kieru stanowiła.

Nr. 21.

Że po pacierzu, sercu w upominek,
Imiona wszystkich Hetmanów wymieniał,
A potém mówił: wieczny odpoczynek.

Starożytna Polska we wszystkich swoich urządzeniach prosta i praktyczna łączyła koléj Królów i Hetmanów z pacierzem. P. Ksawery opowiadał mi: iż przybywszy na krésy, polecony P. Mohortowi, odmawiał z nim zawsze razem pacierze kapłańskie, po

których następowało wyliczenie wszystkich koronnych i litewskich wielkich i polnych Hetmanów. Codziennėm powtarzaniem tak się wbijała w pamięć koléj głównych wypadków historycznych, że P. Ksawery zachował do śmierci koléj Hetmanów i pamiętnych po tych buławach potrzeb.

Nr. 22.

Klemens Branicki! — tu się zwykle wstrzymał —
To już ostatni!

Jan Klemens Branicki Hetman W. Koronny (urodzony 1690) ostatni potomek z starożytnego domu Gryfitów Branickich, był właściwie ostatnim Hetmanem, który jeszcze zażywał całéj powagi i władzy poprzedników swoich. Wysoce poważany w narodzie i od wojska, mieszkał w Białym-Stoku; umarł r. 1773, pogrzebiony dopiéro dnia 20 sierpnia 1777 w Krakowie w kościele Ś. Piotra, gdzie się znajduje pomnik jego i wielki obraz przedstawiający Hetmana na koniu wśród wojska w pełnéj jeszcze zbroi; popiersie Hetmana niezłego pędzla, to samo które na katafalku stało, znajduje się w kapitularzu katedry krakowskiéj.

Nr. 23.

A ile razy tylko nów nastawał,
Za dusze zmarłych na msze święte dawał.

Dla praktyk religijnych mieli nasi dziadowie czasy

oznaczone: i tak dawano za dusze zmarłych na nowiu każdego miesiąca, mówiąc: „Nam nowe światło świéci, a kto wié czy duszom zmarłych świéci.“

Nr. 24.

Komendę odebrał

Przed rezurekcyą.

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego jak jest największym w kościele, tak też i był obchodzony uczuciem obowiązku w narodzie arcykatolickim. Każdy wojskowy miał sobie za to, iż nie godzi się w dzień Zmartwychwstania Pańskiego stać przy chorągwi: przed rezurekcyą tedy ciągnęła chorągiew hetmańska de Hetmana, a do Rotmistrzów ciągnęło na zaciąg towarzystwo; kto zaś miał komendę stał przy niéj, a z nią u Grobu Pańskiego, aż się na rezurekcyą odezwały dzwony. Zwyczaj zaś był powszechny od Wieczerzy Pańskiéj, to jest od Wielkiego Czwartku wieczorem przez cały czas obchodu Męki Pańkiéj nic nie brać do ust, aż dopiéro święcone jaje po nabożeństwie we Wielką Niedzielę.

Nr. 25.

I zdjął ów pancerz, a Pani Krakowska
Wniosła go za nim wraz z pięknym szyszakiem.

Mowa tu jest o P. Hermanowéj Branickiéj, siostrze Króla Stanisława Augusta, którą pospolicie nazywano

Panią Krakowską, bo Hetman Branicki był zarazem Kasztelanem krakowskim. Była to Pani bardzo podniosłego serca i może najznakomitsza osoba w rodzinie królewskiéj.

Nr. 26.

Czas do domu, czas!
Zabawili nas!

Jest pieśń na Rusi śpiéwana na bardzo rzewną ukraińską nótę, którą był zwyczaj śpiéwać przy pożegnaniu, dziękując za gościnne podjęcie domu. Żałuję bardzo, że z téj całéj pieśni doszły mnie tylko te dwa wiérsze z tradycyi. Pewien jednak jestem, iż są ludzie co ją znają jeszcze; i bardzo byłbym wdzięcznym za to, gdyby mi kto przesłać raczył pieśń i melodyą téj pieśni. Patrz objaśnienia do 3go wydania.

Nr. 27.

I sejmem takim nad wszystko się smucił,
Co starą władzę Hetmanów ukrócił.

Wiadomo jest że sejm cztéroletni odjął Hetmanom władzę którą aż po te czasy piastowali. Reforma ta była bardzo niepopularna w całym stanie rycérskim, który w Hetmanie skupienie swojéj siły uważał i buławę miał za czoło swego stanu. Dla samych zaś wojskowych były te reformy zgorszeniem, a to tém bardziéj, że Hetmani mieli ustąpić swéj władzy na rzecz Stanisława Augusta.

Nr. 28.

Z przybyciem Księcia, wojska narodowe
Na krésach życie rozpoczęły nowe,
Bo wiele pięknéj przybyło młodzieży.

Wiadomość o tych czasiech mam od Księcia Eustachego Sanguszki, który w owym czasie z Księciem Józefem przybył do ukraińskiéj partyi i służbą na krésach swój zawód wojskowy rozpoczął. Przybycie obudwu na Ukrainie znalazło odgłos w całym kraju, i ze wszystkich stron Polski garnęła się młodzież do służby.

Nr. 29.

Święty Onufry, z brodą za kolana
Klęczał w pustyńce.

Znany jest w pojęciu artystów wschodniego kościoła typ świętego Onufrego, któremu długa i rozłożysta broda za całe okrycie służy. Na Rusi jest on czczony jako patron czystych źródeł i po wielu monastérach i pustyniach można się spotkać z posągami jego, gdzie nagi, brodą tylko własną okryty w jaskini klęczący bywa i koło źródeł ku czci ludu podany. Tradycya o ptaszkach myjących w czystych źródłach oczy przed świtem, i oczyszczaniu się źródeł na Jura (dniu św. Jérzego), jest wzięta z podań ruskiego ludu. Martyrologium kościoła rzymskiego to jest poczet albo dziennik Męczenników i innych wszelakich Świętych,

w Krakowie u Piotrkowczyka 1591 roku wydane, tak o tym Ś. pod dniem 12 czerwca wspomina:

W Egipcie był ś. Onufryusz Pustelnik, który na wielkiéj pustyni 60 lat świątobliwie przeżył, i sławny wielkiemi cnotami i zasługami wszedł do nieba.

Nr. 30.

Z kraju basztanu, na piérwszym zagonie
Stała, po starym zwyczaju, zatknięta
Szabla.

Szlachcic z oracza, z rycérza oracz, nie wstydził się tego, że sam skibę orze; ale kiedy orał, zatykał szablę na piérwszéj odwalonéj skibie, aby każdy znał: że ten orze, co téj ziemi broni. Był to zwyczaj bardzo starożytny który się do ostatnich przechował czasów. Basztanem nazywa się na spalonym stepie z nowiny wyorany kawał ziemi, na którym się posiewa kawony, melony, kukurydze, fasolę, ogórki.

Nr. 31.

Siedmiu na wartę, po dwóch przed namiotem
Na krótkie straże.

Starym obyczajem znane były wojsku krótkie i długie straże: na piérwszéj stał żołnierz przez godzinę, na drugiéj przez dwie, z tą tylko różnicą, że w letniéj

porze roku przypadały długie straże na noc, a krótkie na dzień; przeciwnie zaś w chłodnéj porze roku krótkie na noc, dłuższe na dzień. Zmiana straży odbywała się o św. Michale i św. Stanisławie; kiedy dowódzca chciał ulżyć komendzie swojéj, lub kiedy na czatach bardzo wielkiéj czujności potrzeba było, komenderował poczt na krótkie straże.

Nr. 32.

Rej tam wodziła pani Pupardowa.

Jenerał Pupard był to Francuz z rodu, którego Stanisław August sprowadził i oddał mu komendę brygady dwóch pułków cudzoziemskiego autoramentu. Pojął on za żonę pannę Kamieńską, któréj młodsza siostra poszła za Sławińskiego; była to osoba bardzo urodziwa i w istocie rej wodząca w owych czasiech w tém kole, w którém się obracało czoło rycérstwa polskiego na Ukrainie.

J. U. Niemcewicz wspomina w swoich pamiętnikach bardzo zaszczytnie o P. Jenerałowéj Pupardowéj i jéj siostrze, i o ludzkości ich dla siebie w położeniu tak trudném, w jakiém się pod ów czas znajdował.

Nr. 33.

Bo tu i popis i szkoła nie lada,
Gdy nam podpędzić kazał swoje stada;
Dwa były stada.

Podział stad ukraińskich na hetmańskie i sułtań-

skie jest bardzo stary i dziś jeszcze praktykowany, z tą tylko różnicą: że stadem hetmańskiém nazywa się dziś stado Płatowa w Ukrainie zadnieprskiéj, a stadem sułtańskiém nazywają konie obecnie z trzech stad sułtanów tatarskich pochodzące. P. Ksawery i Książę Eustachy Sanguszko takie mi dał o téj rzeczy wyobrażenie. Po Firlejach przeszło stado do Scypionów, a mianowićiéj do Józefa Marszałka Litewskiego, który miał za sobą Werenę Firlejównę ostatnią z tego domu. Stado to było w Skałacie, gdzie i dromedary chowano. Po Wiśniowieckich i Sobieskich przeszły stada na Ukrainie puścizną do Radziwiłłów; nadto było stado Lubomirskich w Szarogrodzie; stado po Konasewiczu Sahajdacznym koni z czarną skórą, było już w ów czas po wszystkich stadach rozbite, i konie z tego stada poznawano tylko po ich dzielności i téj czarnéj skórze. Nadto mieli Tarnowscy stado hetmańskie w Kahorliku, Wasilowie i Hermanówce. Giżyccy mieli pięć stad na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, a Sanguszkowie stado w Zasławiu od bardzo już dawnych czasów krwi sułtańskiéj.

Stada dawniéjsze Wiśniowieckich i Sobieskich uprowadził Płatów z dóbr Radziwiłłowskich, stado Lubomirskich rozprzedano częściami, stado Tarnowskich, gdy Jan Jacek Tarnowski Chorąży Halicki nie chciał złożyć homagium i żadnemu z synów Janowi, Feliksowi i Michałowi złożyć nie pozwolił, przeszło także w obce ręce wraz z starostwem Kahorlickiém,

część wszakże jedna wraz z częścią majątku dostała się w ręce Proskurów i została dopiéro za dni naszych zmarnowaną, bo jak słyszę, dzisiejszy Proskura pozbył i stada. Utrzymało się tylko stado książąt Sanguszków w dawnym miejscu i w tych samych rękach sułtańskiego zawodu, a konie Sanguszków mogą nam dać wyobrażenie, jakie to konie chowały się w stadach polskich. Książę Eustachy opowiadał mi, iż miał od P. Mohorta konia z stada Konasewicza zwanego Sahajdak, na którym lat 16 gorącéj swojéj przejeździł młodości; i łzy mu stanęły w oczach, kiedym począł wypytywać o owe czasy i Mohorta, z ponurym ogniem rzekł mi: „klucz bym dziś dał za takiego konia, ale go nie ma.“

Wspomniałèm o orlich skrzydłach z któremi u nóg dzielne konie się rodzą: jest to jak się zdaje tradycya wschodnia, którą starzy Polacy przyjęli byli razem z końmi sułtańskiemi; tak bowiem nazywano u nas, jak się domyślam, nie tylko tureckie bachmaty ale i arabskie „Neżdy“ z pokolenia Anezów. Mówiono, że grzészny człowiek tych skrzydeł u źrebięcia nie widzi kiedy się rodzi, że te skrzydła obłamują się kiedy źrebię po raz piérwszy padnie na ziemię; ztąd téż od klaczy sułtańskich odbiérano źrebięta tak jak się odbiérają dzieci.

Druga tradycya także jak się zdaje pochodzenia wschodniego, jest o tak zwanych wichrach czyli odwrotach, gdzie się sierść na koniu w przeciwnym odwraca

kierunku od całego pomusku włosa. Starzy Polacy nazywali te wichry czyli odwroty orlém piórkiem, bo koń taki co ma odwrot, miał mieć w sobie coś z orlego przyrodzenia. Ściśle zachowałem te tradycye z odznaczeniem, co odwrot czyli orle piórko na głowie, na szyi i na piersiach znaczy. Odwrot za popręgiem znaczy śmierć jeźdzcowi jeżeli w bój pójdzie. Źródła tych tradycyj szukaćby wypadało jednych po za Atlasem, drugich aż w pustyniach Arabii; a jednak były one żywe w kole tych rycérzy, którzy puścizną brali rycérstwo starożytnego Wschodu i konie od Wschodu.

Ci którzy stada większe chowają, wiedzą o tém, że do nich przybywają nie raz nieproszeni goście. Koń lub kilka nie raz koni, które się do stada przybiją, bywają silne, zuchwałe, natrętne, od koni bite; odbić się nie dadzą, pasą się po roku i dłużéj po stronie, ale stada które sobie obiorą, odstąpić nie chcą. Koń taki sprzedany na jarmarku wraca, darowany nawet o mil kilkanaście ucieka od nowego nawet właściciela swego, nie daje się najeździć, niewiadomo co go goni i do stada nęci; ale przyjęty raz już do stada rozmnaża się, idzie ręką, i nie miéwa ani gańczu, ani szwanku. To się odnosi do owych myszatych koni wspomnianych przy stadzie P. Mohorta.

Nr. 34.

Bujna w stepach pszczoła.

Tradycya o futorze żelaznym ulem zwanym

odnosi się w czasy Hetmana Żółkiewskiego, i jest cała wzięta z podania P. Ksawerego tak jak ją miał od P. Mohorta. Sam tekst objaśnia rzecz całą. A zajmującą byłoby rzeczą gdyby można na Ukrainie odszukać miejsce téj starożytnéj tradycyi.

Nr. 35.

Kto na Krymu ne bywau,
Perekopu ne wydau.

Pieśń gminna podziśdzień śpiéwana. Twierdzą Perekopu zamknięty jest półwysep Krymu, i Perekop ten jako klucz do dziedziny Hanów Krymskich gra wielką rolę w tradycyach i pieśniach ukraińskiego ludu.

Nr. 36.

Krésy ściągnięto — piechotne kolumny
I artylerya stała pod Bracławiem.

Przed rozpoczęciem kampanii tak zwanéj piérwszéj 1792 roku stał obóz wojsk polskich pod Bracławiem. Z tych czasów opowiadał mi P. Ksawery następującą historyjkę. Między nowo zaciężnymi przybyło dwóch Łaszczów, szałaputów i lekkoduchów okrutnych, którym bardzo nie na rękę była surowość P. Mohorta, który właśnie pod ten czas został mianowany Oboźnym. Płatali tedy figle po obozie, ale tak zręcznie, że nie

można ich było złapać na uczynku; i tak np. Jednéj nocy założyli wszystkie podogonia po wiérzchach stodół, po soszkach; innéj znowu nocy przekulbaczyli konie na przewrót, popiersnikami do ogonów, podogoniami do głowy, nareszcie wyrznęli z kulbaki samego P. Mohorta sto dukatów, które zawsze zaszyte w terlicy miéwał. To paniczowski figiel, rzekł P. Mohort, nikt z wojskowych towarzyszy nie zrobiłby tego, i poskarżył się Księciu.

Książę wziął tę rzecz bardzo ostro, znalazła się i kulbaka w gnojówkę wrzucona, i obok niéj podrzucona kieska ze stoma dukatami, bo rzeczywiście nie chodziło tym lekkoduchom, jak tylko o to, aby dowieść Mohortowi, że czujność jego nic nie pomoże. Książę się bardzo rozgniéwał i rzekł: ja im tu ołowiem głowy zmyję i nauczę szanować starszych. Wszystkich nowo zaciężnych aresztowano i Książę rzecz wziął tak ostro, że się psota wydać musiała, i nie było żartu. Widząc to P. Mohort wniósł za młodém towarzystwem instancyą, wziął wszystkich razem do spowiedzi nie wchodząc w to kto z nich winien, a za karę musieli posłać kks. Bazylianom dwie beczki starego miodu.

Nr. 37.

Patrz Wasze, zgadłem, i koń drogę czuje!

Starzy wojskowi uważają na to kiedy koń liga w obozie, zapowiada to bowiem zawsze marsz niezawodny;

Nr. 38.

Albo zsiadł z konia i wytchnął na chwilę,
Gdyśmy stanęli pod strażniczym lasem.

Dzisiejsze uczone archeologiczne wywody zaprzeczyły temu, jakoby być miały kiedy strażnicze mogiły, na których stawiano czaty, z których zapalano wici ostrzegające o przybyciu nieprzyjaciela. A P. Ksawery Krasicki i P. Kazimiérz Ostaszewski mówili mi nie tylko o strażniczych mogiłach ale i o strażniczych laskach za ich jeszcze czasów znanych. Kiedy bowiem nieprzyjaciel nadchodził, ściągały się czaty ze strażniczych mogił do strażniczych lasów. Czy się to dotąd zachowało? nie wiem, bo wszystko com tu dał, mam nie z miejscowości ale z podania.

Nr. 39.

To szabli ojca nie ma nosić komu;
A że jéj smutno będzie w tym spoczynku,
Więc przyjm ją Waszmość proszę w upominku.

Pan Mohort miał szablę z napisem:
Kiedy mnie ściśnie jaka ciężka trwoga,
Daj mi ratunek Rodzicielko Boga.
i nazywał ją „starą sługą Matki Boskiéj“. Szable z napisami były rzeczą powszednią, a najczęściéj

znajdują się na nich wezwania do Matki Boskiéj albo apostrofy do klejnotu szlacheckiego.

Nr. 40.

Skoczyłem z wozu, i oko nie wierzy,
Trumna otwarta — w trumnie Anna leży.

Jeszcze w zeszłym wieku był zwyczaj że umarłych w otwartéj trumnie niesiono do grobu. Osoby młode i w dziewictwie schodzące chowano w stroju weselnym. Na wieku trumny nieśli młodzieńcy wieniec, jakby na tacy ślubny wieniec drużbowie.

Nr. 41.

I wymykali śpiéwaki na czoło,
I miła wszystkim wojskowa pieśń stara
Zabrzmiała w stepie:
Hej tam na górze
Jadą rycérze i t. d.

Był zwyczaj we wszystkich chorągwiach od wieków, iż z pocztu towarzyszów dobiérano śpiéwaków, którzy na czele jadąc śpiéwali pobożne i światowe pieśni. Zwyczaj śpiewania pieśni światowych przeszedł na pułki ułańskie, a piosnka tu przytoczona była ulubioną piosnką Księcia Józefa, i wojsko śpiéwało ją przez cały czas Księstwa Warszawskiego.

Nr. 42.

To powiem Panom, co w podobnéj sprawie
Stary Przezdziecki z młodu mi powiadał,
Który był z królem Janem na wyprawie.

Na wyprawie Wiédeńskiéj był jeden z Przedzieckich, który późnéj dożył starości. Gdy już ociemniał i z pokoju więcéj nie wychodził, skarżył się na zimno; wpuszczono tedy pieć piekarski do izby i urządzono mu niby pokoik na tym piecu, tam siedział przez dzień cały i ledwo na Wielkanoc sprowadzono go schodkami na izbę. Broń wszakże swoję, zbroję całą i rząd z konia, na którym był na wiédeńskiéj wyprawie, miał Przezdziecki na tym zapiecku do swéj śmierci przy łożu, i każdą sztukę zbroi i rzędu obmacał codziennie dwa razy, kiedy z rana powstał i nim szedł na spoczynek.

Nr. 43.

Król szedł na Kraków i Tarnowskie góry.

Tradycya historyczna, o czém w Janinie.

Nr. 44.

Jest w Boryszkowcach staw i gróbla długa.

Miejscowość i bitwa jest ściśle historycznie opisana.

Nr. 45.

I jedna wiara, mówi Paweł święty.

Ostatnie te słowa Mohorta na Boryszkowskiéj grobli odnoszą się do znanéj pieśni katechizmowéj:

Jeden Bóg wszędzie, jeden Chrzest przyjęty,
I jedna wiara, mówi Paweł święty.
Piotr z następcami jest głową w kościele,
Ta wiara sama, innych chociaż wiele
Wiar się rachuje, w nich żaden zbawiony
Człowiek nie będzie, ale potępiony.
Bóg to objawił swym wiernym dla tego,
Iż nieomylna prawda święta Jego.

OBJAŚNIENIA

DO

TRZECIEGO WYDANIA.

Nie tak jeszcze wiele czasu upłynęło od pierwszego wydania Mohorta, a widzę się w położeniu dodánia nowych objaśnień — bo od czasu wyjścia téj mojéj pracy okazało się w pismach publicznych wiele wzmianek o nim, a mnie obesłano wielu listami wierszem i prozą od znajomych i nieznajomych, na które się odpowiedzieć godzi.

Oddając jakąkolwiek pracę na własność publiczności, pojmuję to, iż sąd do niéj należy; ale że to w naszych czasiech wmówiono w nas, że pisma czasowe są wyrazem opinii publicznéj, więc ze schyloną głową i z sercem uniżoném przyjmujemy wszystkie nagany i pochwały Mohorta, i nie będę się ani tłómaczył ani dziękował recenzentom i krytykom moim. Doszło mnie o nim zdanie starszych w służbie i literaturze, jak P. Adama P. Seweryna i P. Alexandra, na tém przestaję co do samego tekstu — co zaś do objaśnień, dziwna rzecz, że właśnie te, które nie miały mieć ża-

dnego innego znaczenia nad wyświecenie niektórych miejsc samego tekstu, obudziły najwięcéj kwestyi i niechęci dla mnie — że te właśnie wywołały polemikę i spowodowały mnie do dania nowych objaśnień do Mohorta.

To co wytrawni ludzie głęboko czują i podzielili — co trafiło w ich myśli pod względem znaczenia historyi i tradycyi — o czém tylko z lekka natrąciłem, obraziło najwięcéj adeptów literackich, znających się może na wszystkiém, tylko nie na tém około czego chodzą. — Przywykły wszakże od lat dwudziestu pięciu widzieć słuchaczy moich po za kołem pism czasowych — nie w kawiarni ale we dworze szlacheckim — odzywam się do nich i dzisiaj z tém samém uczuciem, z jakiém im przed dwudziestu pięciu laty piérwsze moje płody złożyłem; — z tém zaufaniem i z tą miłością serdeczną niechaj mi wolno będzie i dziś się do nich uciec, i odpowiedzić tymi objaśnieniami na wiele listów i odezw, któremi mnie moi czytelnicy po wyjściu Mohorta obesłać raczyli.

O znaczeniu, wartości i mocy tradycyi nie będziemy chodzić w zapasy z tymi, którzy jéj nie znają i ocenić niezdolni — którzy jéj nie wzięli i wziąć nie mogli puścizną — którzy jéj nadewszystko niechętni w nicości swojéj z widoków osobistych. My mówimy do tych, którym to potrzebne, dając poparcie tym, od których szukamy poparcia w obliczu rzeczy Boskich i ludzkich — kościoła, dziejów i literatury.

Mohort z natury swójéj wyszedł ze sfery książkowéj — bo cały wzięty ze sfery tradycyi; ztąd téż nastąpiło w skutek jego wyjścia większe zetknięcie z tymi, co na tradycyi oparci w rzeczywistym świecie żyją. Nie wiedziałem o tém gdym go pisał; ale uczułem to, gdy się rozszedł po świecie. Nasza literatura dzisiejsza w pismach czasowych skupiona ignoruje w złéj czy w dobréj wierze wszystkie rzeczywiste stosunki Narodu; pragnąłbym, żeby nam i sobie odpowiedzieć chciała na te dwie kwestye:

Dla kogo to wszystko pisze?
Co po niéj zostanie?

A sądzę że jeżeli pisma czasowe nasze z małymi bardzo wyjątkami na te dwie kwestye sumiennie sobie i nam odpowiedzieć zechcą, znajdzie ogół czytelników w pismach czasowych większy wymiar sprawiedliwości dla siebie — większe uznanie rzeczywistego położenia swego. Nasze izolowane stanowisko jeżeli potrąciło pewne żywotne kwestye dla historyi i literatury, stało się to bez żadnego zarozumienia — i czy to łaskawie czy nie łaskawie będzie przyjęte, na tém mi mało zależy. — Nawykły dawać to, na co mnie stać, a przemawiać do starych przyjaciół otwarcie i jasno, uczyniłem to w ówczas i czynię to dziś, mimo narowów naszego czasu, który nic nie zostawia potomności, ale i przeszłość swoim łokciem mierzy i wszystkie zjawiska

swojego wieku ostatecznie sądzi, bez względu na to że ktoś tam był i przed nami i ktoś jeszcze i po nas będzie:

„W światowych dziejach mieszka Sędzia Świata", powiedział Szyller — a Wiktor Hugo dowodzi „że inny jeszcze sąd historyi a inny Boga!"

Otoż dla modernistow i eklektyków zostaje wybor za kim pojść zechcą — za Szyllerem czy za Hugonem — mnie się zdaje, że w téj całéj sprawie nie chodzi żywnie nikomu ani o sądy dziejów, ani o sądy Boga — ani o sądy literatury w końcu. Więc odpowiadając na te różne kwestye, które Mohort wywołał po za kołem gazeciarstwa, przyznamy się czytelnikom naszym, iż znajdujemy się w niemałym kłopocie; bo jak wspominiałem, Mohort leży po za sferą książkową w świecie rzeczywistym, który żąda tradycyi żywéj i opisów żywota niedawno zeszłych a znanych w narodzie mężów. —

I tak pisze mi ktoś: — „Czy można było o P. Xawerym Krasickiem, o Xięciu Eustachym Lubartowiczu, o P. Kazimierzu Ostaszewskim, czy można było wydając książkę wspomnieć o nich zaledwo kilku słowy? a wszak ci to my ich znali, kochali, czcili — za coż niebyło ich opisać szerzéj i podać rodakom ku czci?"

Ktoś inny znów pisze:

„Dobrze Wmm. Panu Dobrodziejowi przestać na cytacyi hajnałow; ale my mieszkamy na sto mil od Krakowa odlegli — nie znamy śpiewu hajnałów, nie

wiemy o jakich to pieśniach do Matki Boskiéj mowa — jak to można było tę rzecz tak lekko traktować, nie dać nam ani nuty ani piesni?"

Ktoś inny znowu pisze:

„Mieszkam na Ukrainie i przyznam się WWMM P. Dob. że znam pieśni które tu szlachta i lud śpiéwa, ale nigdy nie słyszałem o pieśni, którą cytujesz i która w Mohorcie taką gra rolę:

„Czas do domu czas
Zabawili nas."

Więc póki mi WWMM. Panu Dob. nie nadeszlesz téj pieśni razem z nutą, będę miał tę całą rzecz za fikcyą poetyczną i rzecz wątpliwą."

Jeszcze ktoś inny pisze do mnie:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju! Od Homera aż do WM. Pana Dobr. niech to będzie bez urazy, mam wszelką poezyą za rzecz nie potrzebną, ale w Mohorcie zabiłeś mi WWMM. Pan Dob. wielkiego klina — bo poezya dla mnie rzecz obojętna, ale konie chowam i jak mi się przynajmniéj zdaje, że dobre konie — otoż proszę mi powiedzieć, skąd WWM. Pan Dobr. wiész o tém co piszesz o stadzie w Mohorcie, bo ja na seryo lubię brać rzeczy. Słyszałem żeś WWM. Pan Dobr. Professorem w Uniwersytecie Jagiellońskim i domyśliłem się że musisz kurs hippiki wykładać — jeżeli tak jest, to proszę mi donieść o tém, a przyjadę do Krakowa.

Na to odpowiedziałem:

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Ja znajduję się w tém samém położeniu w jakiém WWMM. Pan Dobr. byłeś, z tą tylko różnicą, że WWMM. Pan Dobr. byłeś zapewne za młodu w Uniwersytecie, zanim jeszcze chowałeś konie — ja dostałem się na starość do szkoły, jak już na koniu jeździć przestałem. Hippiki nie wykładałem tylko Jeografią; ale jeżeli WWMM. Pan Dobr. przybędziesz do Krakowa, miło mi będzie WWM. Pana Dobr. uścisnąć i pomówić z nim o koniach — a kiedy WWMM. Pan Dobr. taki przyrodzony wstręt czujesz do poezyi, upewniam solennie, że nawet o rumakach Homerowskich nie będzie między nami mowy.

Otoż to taka sprawa.

Więc sformułowawszy wszystkie żądania i kwestye do cztérech objaśnień i odpowiedzi, dodaję je obecnie do nowego wydania Mohorta. —

Pisałem w Krakowie 25. stycznia 1857 r.
w dzień Nawrócenia Ś. Pawła.

Nr. 1.

Jeżelim o **Księciu Eustachym**, o **P. Ksawerym Krasickim**, o **P. Kazimierzu Ostaszewskim** ozwał się w objaśnieniach do Mohorta, uczyniłem to tylko z największéj potrzeby — jedynie z tego powodu, aby Mohorta i całe to podanie nie miano za fikcyę. Wiem co się obywatelom należącym do czoła Narodu należy; a w przekonaniu tém, że są pewne względy, które i dla siebie i dla rodzin zacnych zachować należy — w przekonaniu tém, że nawet o ojcach naszych nie czas jeszcze mówić z całą otwartością w obec większego koła słuchaczy, podałem tylko kilka szczegółów, które mi się wydały nieodbicie potrzebne. Wszakże gdy właśnie z téj strony był nacisk największy listów poufnych, gdy rozumiem iż obowiązkiem moim jest abym na nie wszem w obec odpowiedział, bo były nawet bez-imienne listy; powiem tu tylko tyle, iż

od bardzo wielu lat notuję wypadki, które mi się ważne być zdają, i tradycye z ust znakomitych ludzi wzięte, które powiększéj części bez odgłosu ginęły i giną — przyrzekam w inném miejscu i w innym czasie, gdy już i o nas samych sąd bezstronniejszy orzec będzie można, zdać z tych wypadków i z tych tradycyj sprawę, i ze stosunków osób z którymi się żyło lub się znało, którzy nam coś takiego podali, co daléj podać warto.

Co do ludzi, na to czas jeszcze będzie. Świeżo zwiedzając grób ś. p. Ksawerego Krasickiego i Kazimierza Ostaszewskiego, bo w upłynioném lecie, zrozumiałem że o obydwu zawcześnie jeszcze mówić. Więc proszę o folgę i o względ dalszy dla siebie, kiedy się poczuwam do tego, że go dla innych zachować potrzeba.

Jeżeli Bóg łaskaw, nie wyniesiem się cichaczem z tego świata i dopełnim, co na nas padło.

Nr. 2.

Już w pierwszych wydaniach Mohorta zrobiłem uwagę, że hajnały zastąpiły zda się pieśń Boga Rodzicy, w zetknięciu się z rycerstwem węgierskiém; dziś jeszcze więcéj jestem tego przekonania, bo biorąc historyczną nić wypadków tradycyjnie, nie mogę pojąć, kiedy i dla czegoby pieśń Boga Rodzicy śpiewać zaprzestano, gdyby jéj coś innego nie zastąpiło było

w życiu. Nic nie ma bardziéj zachowawczego jak zwyczaje rycerstwa, które z kościoła poświęcenie i namaszczenie wzięły — a gdy rycerstwo polskie aż po ostatnie czasy hajnałem budziło się o dniu, rozumiem iż pomiędzy pieśnią Boga Rodzicy a hajnałami krakowskiemi przerwy nie było.

Śledząc nić tradycyi, sądzę że się za Stefana Batorego upowszechniły hajnały w wojsku — poddaję tę rzecz pod sąd wytrawniejszych, chociaż wiem o tém, że już wcześniéj o hajnałach są wzmianki w pisarzach naszych.
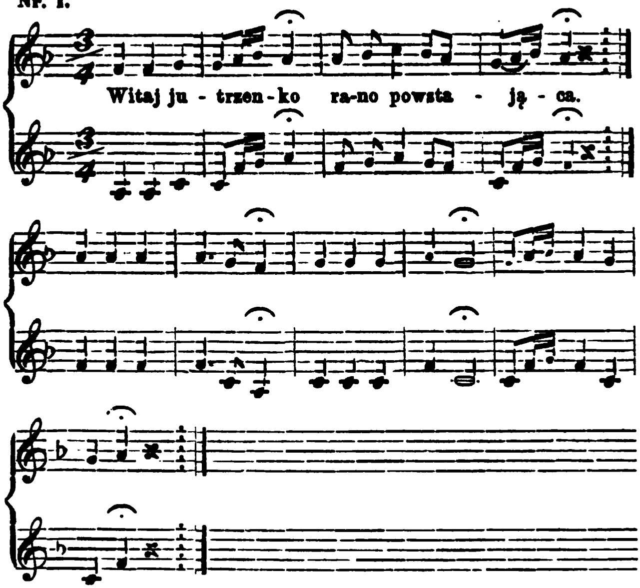
Chcąc podać hajnały na żądanie do wiadomości publicznéj, do kogóż było się uciec, jak nie do P. Wincentego Gorączkiewicza, który od pół przeszło wieku orędują muzyce kościelnéj w Katedrze Krakowskiéj? do kogóż jak nie do Szanownego weterana, który zwykł był mawiać: „Dzwon Zygmuntowski nie ma tylko dwa tony, G i contr G, ale co to za artysta co go zrobił i czego on nie mówi!"

Z tradycyi tedy drużby mego podaję tu hajnały przez niego napisane i na nóty taktami podzielone i ułożone, bo hajnały powstały w czasie, gdzie jeszcze nót nie dzielono na takty.
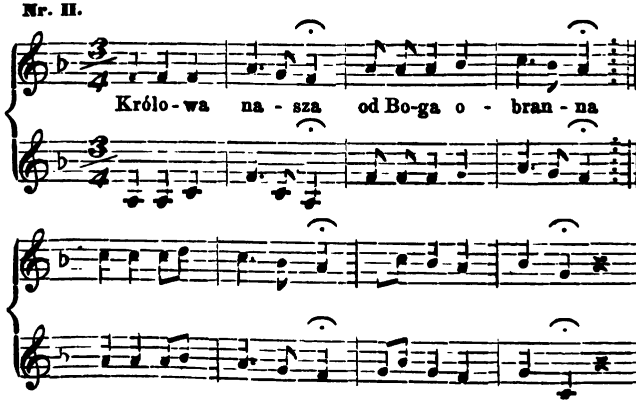
HAJNAŁY KRAKOWSKIE.

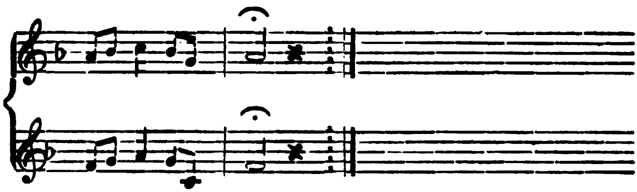
(Na dwie trąby in Es.)

Nr. I.
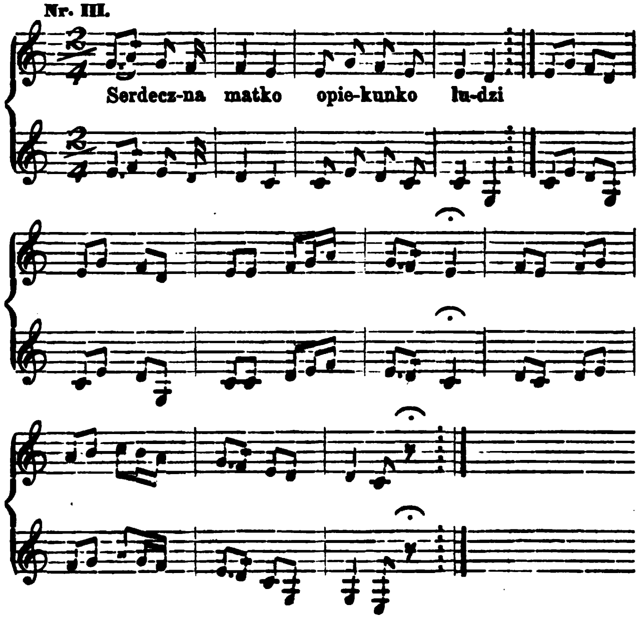


Nr. II.





Nr. III.



Nr. 3.
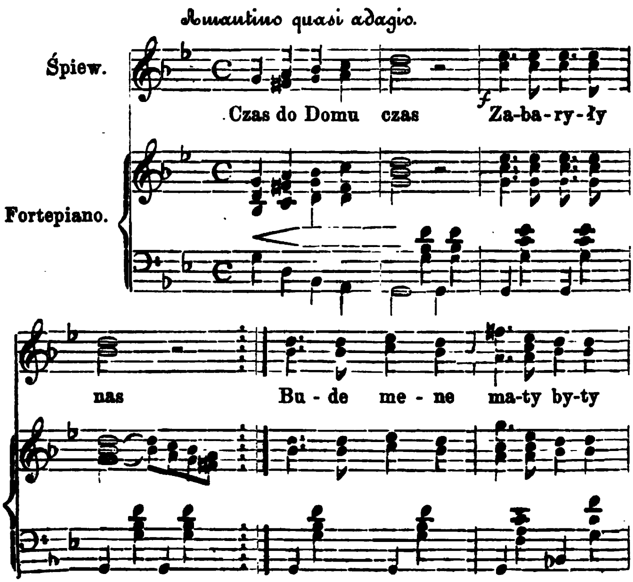
Co do pieśni:
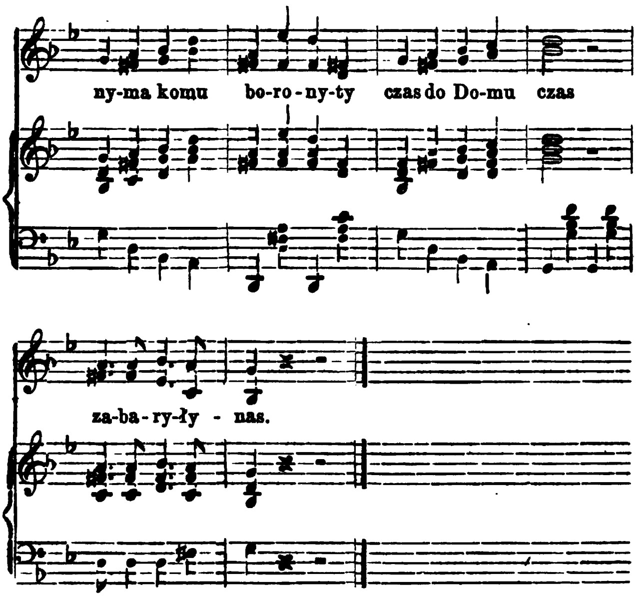
„Czas do domu czas
Zabawili nas.“

Ufałem w to: „Pukaj a otworzą“, i nie omyliłem się. Jakoż nadszedł list z d. 12. Marca 1855 r. P. J. Cyryny, który pisze: — „Czytając rapsod pod tytu-

łem Mohort wpadła mi pod oko nota autora, który żąda pieśni Ukraińskiéj: „Czas do domu czas“ i t. d. Piosnkę tę nie raz śpiewaliśmy chórem wracając z polowania, to z ś. p. Janem Poniatowskim, to śp. Marcinem Księciem Sapiehą; otóż została mi w pamięci muzyka prawdziwéj prostoty pełna, a piękna jakby z Mozarta wypłynęła pióra, i trzy strofy, które jako poezya nie wiele warte, posyłam — a było tego dziesięć strof których nie pamiętam.“

Muzykę przez P. Cyrynę nadesłaną podajemy tutaj wraz z wrotkami, które się odszukały — prosząc ktoby resztę tych zwrotek znał, niech nam je łaskawie nadeszle.





Jeszcze ne czas ni
Zabary try dni,
Nestij nestij na porozi
Łudsze w hati jak na wozi...
Jeszcze ne czas ni
Zabary try dni!

Czas do domu czas
Pozdrawlaju was!
Maty doma ożydaje
Jak ne wernu to połaje...
Czas do domu czas
Pozdrawlaju was!

Nr. 4.

Najwięcéj kwestyi, jak mówiłem, wywołał ustęp o koniah, bo nawet sam P. Aleksander Fredro powiedział: „Bój się Boga, a skąd-że-to? z kim-

żeś się naradzał? Otóż na te wsystkie kwestye najobszerniéj odpowiedzieć widzę się zmuszonym. W miarę tego jak mi rzucano kwestye wątpliwości i zapytania, już po piérwszém wydaniu Mohorta, spisałem to wszystko com wiedział o koniach; a że to nam starszym pisarzom dziś się odzywać nie wolno i nie wypada, bo głos zajęli luźni ludzie w pismach publicznych, przy których otworzystém zdaniu milczeć nam tylko przystoi: więc sformułowałem rzecz o koniach — spisałem to wszystko com wiedział i podałem szanownemu memu przyjacielowi P. Marcellemu Jawornickiemu bez-imiennie do Tygodnika Rolniczego Krakowskiego, który redaguje. Bo dziś wolno nam się odzywać tylko bez-imiennie i w pismach rolniczych, odkąd zaprotestowano przeciwko temu, że filozof i historyk nie potrzebuje kanwy od poety. Gdyby ci panowie widywali się z Arystotelesem, odesłalibyśmy ich do Arystotelesa, jak poetę i historyka sądzi,— gdyby umieli ocenić Michała Wiszniewskiego, odesłalibyśmy ich do niego, bo on jeszcze mówi o kunszcie historycznym, ale że o koniach i stadzie mowa, trzaśniemy sobie na odprawę z harapa; a zostawiając adeptów literatury na stronie, podajemy tu trzy artykuły o koniach, tak jakeśmy je wówczas spisali dla P. Marcellego Jawornickiego: 1sze o angielskich koniach i wyścigach u nas, 2gie o tarantowatych i srokatych koniach, 3cie o maściach i odmianach w koniach.

I.

O ANGIELSKIH KONIACH I WYŚCIGACH U NAS.

Ulepszenia i reformy gospodarskie biorą u nas częstokroć początek z jakiegoś gorączkowego szału i występują w formie wyraźnego najazdu na kraj, pociągając za sobą ledwo nie te same skutki, co najazdy.

Tego rodzaju najazdem była mania angielskich koni i wyścigów konnych na sposób angielski urządzonych. Dziś, kiedy ta gorączka już przeszła, warto się zastanowić nad tym epizodem gospodarskim: zkąd się ta anglomania wzięła? dla czego się tak epidemicznie szerzyła? i jakie w końcu po sobie zostawiła skutki?

Warto się mówię zastanowić nad tém, bo uważam to od kilkudziesięciu lat, że nas tego rodzaju gorączki nachodzą perjodycznie, i kiedy mania chowania angielskich koni i wyścigów konnych trochę przeminęła, zapewne jest coś nowego za pasem, na co się rzucimy z gorliwością nowatorstwu właściwą.

Wracając do chowu koni angielskich u nas, musimy począć genetycznie, zkąd się to wzięło? — Od czasu jak francuzi bardzo miarę przebrali w radykalnych opinjach politycznych i w przekształcaniu dowolném a gwałtownem społeczeństwa swego, odezwała się w nas instynktowo, że tak powiem, jakaś poczciwsza

zachowawcza żyłka: ale, miasto tego, żebyśmy w tym kierunku umysłów i spraw, mieli byli powrócić do Boga, do poczciwych zwyczajów domu, do poważnych obyczajów narodu, do języka, do tradycji w księgach i w życiu, do pracy i wsi, a w końcu do gospodarstwa, któreby w moralnych pobudkach czerpało siły materjalne: miasto tego, rzuciliśmy się od francuzczyzny na anglomanją, upatrując w instytucjach angielskich większą rękojmię dla społeczeństwa, które z historycznéj posady swojéj dotąd nie zostało wyparte.

To studjum, że tak powiem, instytucji angielskich, angielskich obyczajów, angielskiego gospodarstwa, doprowadziło wszakże do bardzo dziwacznego skutku: bo wyrastając z zupełnie inszéj przeszłości, żyjąc pod zupełnie innemi instytucjami i w innym zupełnie kraju, pod wpływem zupełnie innych okoliczności i stosunków, zamierzyliśmy sobie dojść do tych samych rezultatów: w skutek tego założenia wzięliśmy się, między innemi, do chowu angielskich koni, a tu jeszcze poczęliśmy chów angielskich koni od tego na czém go w Anglji skończono, to jest od wyścigów konnych.

Już z góry było to wielkie absurdum: bo rassa naszych krajowych koni, bez względu na pojedyńcze stada i stajnie, bez względu na indywidua, nie ma cała żadnéj analogji z germańskiemi rassami koni; a juźciż w teorji krzyżowania rass jest to jedna z głównych zasad, jeżeli się nie chce dojść z tego krzyżowania do wyrodków, aby zbliżać do siebie rassy rodem, krwią

i budową pokrewne i niezbyt oddalone. Tym co bliżéj zajrzeli w te rzeczy, wiadomo jest, ile to czasu upłynęło, nim z krzyżowania pierwotnéj rassy anglo-saxońskiéj i arabskiéj wyprowadzono te rassy, jakie dziś Anglja posiada. My chcieliśmy do nich dojść do razu i wszystkie zalety angielskich koni przyswoić krajowi.

Cały ród naszych koni, poczynając od drobnych chłopskich a kończąc na rosłych stajennych, jest albo w istocie orjentalnego pochodzenia, albo przynajmniéj najbliżéj orjentalnych rass stojący, mianowicie zaś, najbliższy koni tureckich. Jakoż, dowodzi tego, nawet w drobnych konikach, wyniosły przód, noga gładka, sierść krótka, krew dobra, kość okrągła, a nadewszystko to, że byle lepiéj nieco chowane, byle z rassą tureckich koni zetknięte, a zaraz poczynają rodzić coraz roślejsze konie i odradzają wszystkie zalety świadczące o pierwotném pochodzeniu swojém; ten sam skutek ma także poprawa rosłych naszych koni przez arabskie jak drobnych przez tureckie: słowem mówiąc, tylko orjentalna krew może poprawić chów naszych koni. Jeżeli więc sprowadzeniém koni angielskich zamierzaliśmy podnieść chów krajowych koni, to cel był zupełnie i już z góry chybiony, bo niewłaściwą płonkę obrano do szczepienia; jakoż okazało to się w skutkach, bo miasto uszlachetnienia rassy miejscowéj, napłodziło się z tego krzyżowania rass mnóstwo wyrodków i dziwolągów, lub tam tylko udały się piękne źrebięta po angielskich ogierach, gdzie w angielskim ogierze była przewaga krwi arab-

skiéj, a tém samém, gdzie, lubo nie wprost, ale pośrednio była pewna analogja rassy.

Dalecy tu jesteśmy od tego, ażebyśmy nie mieli uznawać wielkich zalet koni angielskich: wszakże i w Anglji chowa się kilka rass różnych, do różnego użytku; chcieć zaś tego, aby się angielskie konie tak samo i takie same chowały u nas jak w Anglji, wychodzi to na jedno, co chcieć znieść różnice krwi, klimatu, gleby, wychodzi to na jedno, jakbyśmy żądali od żyta żeby było pszenicą, od owsa żeby był jęczmieniem. U nas wszakże nie o ten szkopuł jeszcze rozbił się chów angielskich koni, ale właściwie o to, że inne jest u nas przeznaczenie i użycie konia a inne w Anglji,

Pomiędzy koniem, ziemią a człowiekiem jest bowiem także pokrewieństwo, niemniéj jak pomiędzy temperamentem konia a charakterem jeźdzca.

Angielski koń osadza się właściwie na przodzie — my lubimy osadzać konia na zadzie: angielski koń jest niedościgniety, ale w prostéj linji, jak lokomotywa — my lubimy konia zwrotnego, jak to mówią wolta na talérzu, kiedy angielskiemu tę woltę z dziś na jutro zapowiadać trzeba; angielski koń ma ostre kości, często, jeżeli się w pierwotną rassę wradza, spadziste, ścięte, tak zwane świńskie zady, krzyż nieużyty, pysk trudny do wyrobienia, potrzebuje ostrogi, jest często smutny i narowisty — my lubimy konia czułego w wędzidle i łytce, okrągłéj kości, wesołéj krwi i fantazji bez narowu. O te tedy różnice rozbił się właściwie chów angielskich koni

u nas, chociaż i wiele materjalnych przyczyn przyłożyło się do tego: bo koni angielskich nie było jak i do czego użyć i nie było kupca na nie, a miljony wyszły z kraju na zakupno koni angielskich i na urządzenie wyścigów konnych. Była to jedném słowem rzecz czysto zbytkowa, na zachcenie — fantazja pańska. Jeszczeć rozumiem tych, co sprowadziwszy *vollbluty* angielskie zakładali małe exotyczne stada, ale trudno zrozumieć tych, co nie mając i nie hodując angielskich koni, zapragnęli figurować na wyścigach konnych. Działo się tedy, że tego rodzaju dylettanci skupowali, gdzie można było, źrebce po angielskich koniach wychowane, albo już krwi mięszanéj — i zaledwo że anglomania przeszła kraj najazdem, a już urządzono wyścigi koni angielskich w Poznaniu, Warszawie, we Lwowie i Tarnopolu, a nawet na Ukrainie, gdzie podobno najbardziéj exotyczną plantą jest koń angielski. Pamiętamy bardzo dobrze te czasy i ilu ludzi skrzywiło swój charakter i swe życie na téj zabawie, ile majątków podupadło lub pękło zupełnie! Bo chciało nam się do razu zostać anglikami i to nie prostemi anglikami ale lordami dorazu. Nie dość było sprowadzić lub nabyć konie angielskie w kraju z niesłychanym nakładem, ale trzeba było sprowadzać koniuszych i trenerów z Anglji, zakładać wyraźne szkoły żokejów, urządzać areny i pastewniki angielskie, urządzać kosztowne stajnie, kosztowne zabawy, płacić grube wkupne do klubów, dawać wielkie nagrody, robić wielkie zakłady; słowem, przyłożywszy

skalę majątku lordów angielskich do naszych biédnych i szlacheckich fortun, zabawiliśmy się pięknie ale nie długo!

Jakoż, śmieszna emulacja, która zawsze przyprawia o ruinę majątki szlacheckie, ślepe i bezrozumne naśladownictwo, chęć okazania się wszystkiém innym, byle nie tém czém się jest, złe ocenienie własnego położenia i potrzeb kraju — to napędziło wielu na tę drogę anglomanji i przyłożyło się do rozszerzenia przekonania, że nie ma konia jak tylko *vollblut* angielski i że przeznaczeniem konia jest figurować na wyścigach.

Dziwna tedy rzecz — a właściwie bardzo naturalna i prawdziwa — że to samo co się w Anglii przyczyniło i przyczynia do wzrostu hodowli koni, to jest, że wyścigi konne przyczyniły się u nas do upadku chowu koni: bo chcąc dojść do doskonałości vollblutów angielskich, zaniedbaliśmy chów wszystkich innych rass, mierząc zaletami vollblutta zalety w ogólności konia. W poniewierkę poszło tedy co swoje, bo niepodobieństwem było przerodzić krajowe stada i stajnie, a cała uwaga była tylko zwrócona na rassę angielską. Najznakomitsze krajowe stada poszły w lekkocenienie i pogardę; więc to co istotnie miało i ma wielką wartość, tém poczęto pomiatać, to poczęto zaniedbywać; gdy z drugiéj strony, w krzyżowaniu angielskiéj rassy z naszemi końmi, doszliśmy do dziwolągów i wyrodków niezdatnych doniczego.

Na tém więc skończył się ów epizod chowu angiel-

skich koni i upowszechnionych angielskich wyścigów, u nas przynajmniéj; a w miarę tego jak ta mania, która tyle kosztowała, przemija, przychodzimy znowu do ocenienia zalet własnych stad i koni uszlachetnionych przez tureckie i arabskie ogiery, i daj Boże! żeby się ten smutny epizod na tém tylko kończył, że kilkanaście lat w uszlachetnieniu własnych rass, rass krajowych jest straconych, i żebyśmy tam znowu, pod względem chowu koni, stanąć mogli, gdzieśmy przed dwudziestu pięciu laty stali.

II.

KILKA SŁÓW

O TARANTOWATYH I SROKATYCH KONIACH.

Jak do wszystkiego poczyna świat zwolna pzwracać, co bez potrzeby zarzucił, czego w swym czasie ocenić nie umiał, tak téż powraca dziś znowu do chowu srokatych i tarantowatych koni.

Jeżeli się tu kogo radzić wypada i niezawodnie można, to staropolskiéj hippiki, która, nietylko że przywiązywała wielkie znaczenie do maści konia, ale nadto jeszcze umiała każdy znak na koniu położony odczytać niejako i tłumaczyć jego znaczenie, podług odwiecznych praktyk i właściwego daru obserwacji. Wszędzie widzimy toż samo, gdzie się od wieków sławne

hodnją konie i gdzie chów koni jest związany z życiem i powołaniem człowieka i narodu.

Według téj tedy tradycyjnéj hippiki, jest maść tarantowata pierwotnie pochodzenia perskiego, a dostała się do nas od Tatarów. Brudno-kasztanowata lub dropiata tarantowacizna na skórze lśniącéj białości, o cielisto-różowawych chrapach i nozdrzach, o takiém samém podkasaniu, lekkiéj bardzo grzywie i nikłym ogonie — to jest maść pierwotna i oryginalna tarantów; którą tém wyżéj ceniono, jeżeli nadto róg kopyt był czarny i lśniący, kształt obłączysty, pęcina krótko związana, oko czarne i wypukłe, wyrost szyi koguci, cętki tarantowacizny równe, jajkowatego kształtu, mało co większe od jaja, i coraz drobniejsze ku szyi i głowie, tak że się w końcu na głowie, i nogach w dół kończyły grubą hreczką lub jednostajną ciemną maścią. — Pierwotne tarantowate konie nie były rosłe, jak wszystkie orjentalne rassy, i miały wszystkie ich zalety, a zrażało to tylko u nas do nich, że nie miały pięknych ogonów bo zazwyczaj od spodu zawsze nagie, a tylko z wiérzchu rzadkim, niezbyt długim, a często i krętym włosieniem pokryte — tak zwane pytki. — Pochodzi to ztąd, że zawsze tylko jedna maść daje włosień na ogonie; albo obrastają centki, co się częściéj zdarza, albo porasta włos biały a centki są nagie, co już do zalet w téj maści liczono, kiedy tarant miał ogon biały. Grzywa biała zdarza się tylko u ogierów i należy do najpiękniejszych odmian w téj maści.

Zrażało tedy, jak mówię, u nas do tarantów, że nie miały piękych ogonów, a wyjątkowo tylko bogatą kądziel. Kiedy więc w całej Europie, na wzór okazałego hiszpańskiego dworu, poczęto już w XVII wieku urządzać kalwakaty i cugi dworskie, sprowadzono i do nas hiszpańskie i neapolitańskie konie, i ztąd powstały taranty rosłe i taranty z lepszemi ogonami; bo, jak wiadomo, są hiszpańskie i neapolitańskie konie także przez arabskie poprawione, ale zachowały wielkość domowéj rassy, silne grzywy i ogony, horbonosy, silne piersi i ogromny wyrost szyi.

Przez rozrodzenie i zkrzyżowanie zmieniła się pierwotna tarantowacizna w żelazne, kare, gniade, na siwe nawet centki. Te taranty, wszakże, nie są już ani tych zalet co oryginalne ani téj wartości. Tarantowate konie cugowe i rosłe księżnéj Marszałkowéj Lubomirskiéj od których wielu u nas wywodzi pochodzenie tarantów, były z za granicy za niéj sprowadzone, ale książę Wojewoda Ruski miał odwieczne stado perskich oryginalnych tarantów, z którego pod wiérzch lekkie brano konie. Dziś pozostały resztki tego stada w Złotnikach na Podolu i ztąd się znowu ta maść rozmnaża.

Tarantowate konie bywały cenione, bo zaletą téj maści jest: wielka krew, silna więź, gładki fel i rączość bez narowu. Taranty wyrastają długo, późno do pracy wzięte służą długo i żyją bardzo długo.

Ród idzie tu głównie po ojcu, nie po matce, jak u innych orientalnych koni; a nietylko zalety rodu ale

nawet i maść. Chciawszy się tedy dochować stada tarantowatych koni, nie dosyć jest mieć tarantowate klacze (których się stosunkowo zawsze mniéj w téj maści rodzi), ale potrzeba mieć ogiera taranta; bo klacz każdéj prawie maści rodzi tu w ogiera: doświadczono nawet tego, że klacz nietarantowata rodzi źrebięta z najregularniejszemi centkami, z piękniejszemi nierównie częstokroć niż je nawet miał ojciec; kiedy źrebięta po samych tarantach widocznie się zwodzą, bo miewają dziwaczną i przykrą tarantowaciznę, a czasem przechodzą w dzikie maści, po których się tarantowacizna przerzuca.

Co do srokatych koni, te są krajowego zawodu, a w piękniejszych i dzielniejszych koniach może uż ostatkami pierwotnéj polskiéj rassy, naznaczonéj tylko widoczniéj dziś już jedynie w téj maści.

Srokacizny nie ma nigdzie pierwotnéj, tak jak jest tarantowacizna, a regularna srokacizna dowodzi odwiecznego starania w hodowaniu koni i najstaranniejszego krzyżowania rass i maści: stąd téż zdarzy się u nas częstokroć znaleźć i ocenić w srokatym koniu zalety i piękności, choć nie jest, jak to mówią: wielkiego rodu i wysokiego żłobu, jakich nawet rassowe konie, tak zwane pierwszéj ręki, nie posiadają.

Najlepszym dowodem, że koń srokaty jest tylko skutkiem odwiecznéj hodowli koni w ręku i za staraniem ludzkiém, jest to, że srokatych koni nie ma tam gdzie się konie nawpół dziko chowają w tabunach; do-

piéro Zawodzkie stada poczynają mieć srokaciznę: stąd téż jest tradycja między koniarzami na Ukrainie, że kto do Ordy tatarskiéj stepami zimą jeździł, nie brał nigdy srokatych koni w drogę, bo koń srokaty nie wygrzebie sobie paszy z pod śniegu; przeciwnie zaś, zachwalano bardzo srokate konie, z powodu ich odwagi, na konie wojenne i myśliwskie, bo mają wiele bystrości, pojętności, czujności na straży i stanowisku, nie boją się zwierza ognia ni wrzawy.

Uderzają nieraz w srokatym koniu drobnym szczegóły tak piękne, iż nie umiemy sobie zdać sprawy, czemu to przypisać? a rzeczywiście leży to w bardzo starożytném pochodzeniu i krwi szlachetnéj która się jeszcze przechowała w koniach téj maści. Co więcéj, kiedy tarantowacizna nie ma pewnych stałych cech, co do kształtów i ruchów, przechowały srokate konie pewne ruchy i kszałty stałe. I tak, na przykład, szérokie czoła i międzyuszy, otwarte chrapy, więź zwięzła, nizko związane nogi, szérokie, prawie rozparte zady, stęp spory i wybitny, kłus nadzwyczaj wyciągnięty, zwrot łatwy, osadzenie w miejscu, oddech silny i długi, o czém się przekonać można przy pojeniu koni, bo srokaty koń pojony zanurza łeb w wodzie wyżéj chrapów jeszcze: daléj, wielka wytrwałość, i, jakem już nadmienił, odwaga, łagodność, wielka pojętność, przywiązanie do jeźdźca i miejsca, jedném słowem mówiąc, większy rozum w téj maści niż w każdéj innéj; co dowodzi, powtarzam, że te konie są już od

bardzo dawna pod ręką i w staraniu ludzkiém. Nie należy to przypisywać przypadkowi jedynie, że pod trębaczy, dojeżdżaczy, myśliwych, dają się tradycyjnie srokate konie: jest to, przeciwnie, wymowny dowód świadczący o odwadze i pojętności koni téj maści. Również nie jest i to przypadkiem, że się małych chłopaczków na srokate sadza konie i że sztukmistrze wszystkich narodów starają się zawsze o nabycie małych srokatych naszych koni, które za granicą dotąd z pojętności swojéj słyną i z łatwością wyuczyć się dają sztuk różnych. Żaden koń nie nadaje się żołnierzowi w tak krótkim czasie jak srokaty, nadewszystko, gdy pod wiérzch użyty, daje się łatwo nauczyć tego, by bez uwiązania stał w miejscu i na stanowisku, gdzie się go, zsiadłszy, postawi; co dowodzi, że ta maść była z dawna łagodnie, starannie i z ręki chowana, że pojmuje stosunki ludzkie i jest rozumnie karną.

W srokaciznie są te maści u znawców najwyżéj cenione, które z natury swojéj najdaléj od siebie legły, a więc przedewszystkiém konie karo-srokate; po nich idą gniado-srokate, daléj kasztanowato-srokate, bułano-srokate, siwo-srokate i najpodlejsze myszato-srokate. Co zaś do saméj srokacizny, i tu zachodzą znaczne bardzo różnice. Czém regularniejsza srokacizna, tém niezawodnie koń lepszy: równy czapraczek ciemnéj maści na białéj lśniącéj skórze, należy do doskonałości — zwłaszcza, jeżeli przytém jest głowa ciemnéj maści i nogi w dół

od kolan ciemne, róg czarny, a ogon wzdłuż od krzyża na poły biały na poły ciemny: do największéj zaś perfekcji należy już w karych srokaczach, jeżeli na białych płatach znajdują się z rzadka krągłe kare centki owalowego kształtu, jak na tarancie; bo taka srokacizna świadczy o przekształceniu trzech rass różnych i zejściu się trzech maści najbardziéj od siebie odległych, to jest maści tarantowatéj, maści siwéj, któréj pierwotnie nie było w naturze, i maści karéj, która najdaléj od siwéj leży. — Błędem w srokatym koniu jest, jeżeli ma od uda w dół białe nogi — takie konie bowiem bywają do grudy bardzo skłonne, w użyciu miękkie i miękkiego ścierwa — jeżeli ma biały róg, który zwykle gośćcowaty bywa, nadzwyczaj suchy i szczypki; nie mają tego jednakowoż za błąd, żeby róg był wzdłuż drobno — prążkowato srokaty, byleby był twardy i połyskujący; błędem jest, w końcu, jeżeli mają zierkate lub tak zwane porcelanowe oczka. Koń przykrej srokacizny, trzy lub więcéj kolorowéj, bywa miękki lub narowisty; koń porcelanowego oczka nietrwały i krótkowidzący, dla tego czasem lękający się wszystkiego przed sobą na ziemi, lubo do ognia i wody odważny bywa.

Ktoby się chciał dochować koni srokatych, niech szuka ogiera któryby był mało ale bardzo regularnie i, jeżeli można, karo, skarogniado, lub przynajmniéj zawsze ciemno-srokaty, a niech z nim nie styka ani klaczy siwych ani dzikiéj maści. Srokacizna ma to do

siebie, że się w pokoleniu powiększają płaty białe; szczególniéj idzie to po klaczach, że źrebięta z nich urodzone, mają coraz większe płaty białe po nogach: dla tego wypada rozradzać srokaciznę z ogiera srokatego, któryby miał jaknajmniejszą strzałkę i nie więcéj jak jednę i to zadnią lewą nogę białą po pęcinę. Cechą niezawodnie szlachetnéj rassy będzie zawsze, jak mówiłem, regularny czapraczek ciemny albo biały, chociaż ciemnemu na tle białém dają pierwszeństwo. — Srokacze różowéj skóry są bardzo łagodne i pojętne, ale srokacze czarnéj spodniéj skóry i twardego ogona (co siłę krzyża oznacza) są to konie największych zalet i największéj trwałości w téj maści.

W dobiéraniu regularnéj srokacizny nie trzeba się koniecznie oglądać na rassę — gdzieś to wyżéj i dawniéj od jednéj krwi poszło; zalety lubią się i odradzać i powracać przy poprawie krwi i to dowoli; zawsze jednakowoż trzeba się trzymać téj zasady, aby poczynając hodować srokate konie, zaczynać od mało-srokatych, to jest, aby ciemna maść przeważała, mianowicie na głowie i nogach, bo z każdém pokoleniem będą się powiększały płaty białe i nie ma obawy żeby się urwała srokacizna na braku białéj sierści.

Tak zwane murzynki nie należą właściwie do srokatych koni; wyradzają się one z maści siwéj, z dereszów i z żelaznéj maści, nie mają żadnego związku z maścią srokatą; a że rassy te są od niéj bardzo odległe, nie radziłbym nigdy tych maści zbliżać do siebie.

III.

O MAŚCIACH I ODMIANACH W KONIACH.

Ledwo, że te artykuły w świat poszły a jużciż rekryminacje: „zkąd on wié więcéj o tarantach i srokatych koniach od nas? gdzie rękojmia że tak jest jak mówi?"

Moi Panowie! Zkąd o tém wiem? wszakżem mowił że z tradycij! Gdzie rękojmia? — w doświadczeniu! Że z upadkiem chowu koni u nas i stad krajowych, zatraciliście tradycje gospodarskie, to rzecz bardzo naturalna. Że z doświadczenia wieków nie chcecie korzystać, czyjaż to ma być wina?

Mówiłem to już poprzednio, że tradycyjna hippika jest składem odwiecznych doświadczeń i skutkiem właściwego daru obserwacji w narodzie, który od wieków dzielne chował konie.

Tradycje te żyją pomiędzy ludźmi znawcami; między właścicielami stad, między ludźmi chodzącymi koło koni; czegoś można się było i w wojsku, czegoś i z staréj księgi nauczyć, czegoś i na jarmarku. Nie są to nowe rzeczy, o których piszę, i owszem cała ich i jedyna jest zasługa, iż nie są nowe, ale na odwieczném doświadceniu oparte; a jeżeli się czasem jakaś

prawda przedrze z życia do pism naszych, czyliż to ma tak obrażać? I owszem, nieśmy to drugim w dobréj wierze, co nam w dobréj wierze dano, a na tém zyska tylko rzecz.

Zapytuję się tedy: któż szczérzéj i sumienniéj badał naturę konia, czy ten, co znając wielkie i mądre drogi Opatrzności pytał się niejako natury przez wieki o każdą własność konia, o każdy kształt i ruch jego, o znaczenie jego maści, o każdą odmianę w niéj, o każdy znak na koniu położony — ? czy ten, co zmarnowawszy puściznę dziadów, i tradycję rycerskiego narodu zatracił i stada zmarnotrawił, a dziś przypisując w koniu wszystko ślepemu przypadkowi lub sprytowi europejskiego makiniona, chce restauracją stad krajowych rozpocząć od sprowadzania koni z zagranicy i uważa to za ujmę honoru, jeżeli się ktoś z boku poważa, patrząc na tę swawolę, odezwać półgębkiem?

Nie zważając tedy na te gadaniny, prowadzimy naszą rzecz daléj w duchu rozpoczętym, i powimy dziś o maściach i odmianach w sierści.

Po srokatych i tarantowatych koniach następuje tu przeto, według tradycyjnéj hippiki, wytłumaczenie wszelkich innych maści i znaków w koniach, tudzież wytłumaczenie odmian białonogich, łysych, strzałkowanych, wytłumaczenie chrapek, gwiazd i odwrotów na koniu.

Zafarbowanie sierści pochodzi od większéj lub

mniejszéj ilości żółci, która się w koniu wyrabia, we włosach przetwarza i maść koniowi daje; że zaś większa lub mniejsza ilość żółci, którą organizm wyrabia, wpływa stanowczo na naturę konia i na jego własności, ztąd téż uważano maść w koniu za wskazówkę własności jego, ztąd zmienia się częstokroć maść z wiekiem, a nawet podług paszy i pory roku w koniu, lub przybiera pewne odmiany, w miarę tego jak organizm więcéj lub mniéj żółci wydziela.

Maść tedy u konia nie jest zupełnie obojętną rzeczą, a od wieków uważano sierść gniadą, która środek w maściach wszystkich trzyma, za najpierwszą i najlepszą; jakoż, gdzie się konie starannie hodują, tam przeważa zawsze maść gniada, która z jednéj strony w skaro-gniadéj sierści przechodzi w maść wroną, z drugiéj strony w cisawą. W sierści téj rozróżniają następujące odmiay: jasno-gniadą, złotą, skarogniadą, gniado-jabłkowitą, gniado-pleśniwą. Z tych za najgorszą mają znawcy jasno-gniadą, zwłaszcza, podpalałą, tj. gdy noga, nozdrze i brzuch przypłowsze bywają — znak to niedobry. Najlepszy złoto-gniady, zwłaszcza, gdy grzywa, ogon, nogi i uszy coraz bardziej czernieją. Gniado-jabłkowity bywa pilny i dobry, mocny, czasami w uporze, przy najeżdżaniu lub w przygodzie do złamania trudny; zawsze jednak między gniademi ceniony i ledwo że nie najlepszy. Gniado-pleśniwy jest do wszystkiego sposobny a

zwłaszcza żołnierzowi bardzo potrzebny, im ciemniejszy tém lepszy. Skaro-gniady bywa wytrwały, silny i rozumny. Maść gniada w powszechności ręką i miarą chodzić lubi. Łagodnością i głaskaniem do prowadzenia lepsza niż ostrością, pamięta długo to czego się nauczy — ztąd krzywdy jéj robić nie trzeba. Z gniadych najweselszy złoty, najłagodniejszy jasno-gniady, skaro-gniady gdy utarty, bezpieczny, jabłkowity nie do zdarcia. Maść to bardzo lubiona, trwała i robocza. Nadzwyczajnych rzeczy nie miéwa albo tylko w jabłkowitéj i w złotéj odmianie, ale wszystko ma czego potrzeba; bo gniady chowa się łatwo, łatwo go dobrać, łatwo najeździć i do wszystkiego użyć można.

Konie maści kasztanowatéj nie stanowiły właściwie dawniéj osobnéj sierści, ale jedne policzano do gniadych, drugie do cisawych, i tu już wchodziły także konie izabelowate i wszystkie bułane.

W ubarwieniu sierści kasztanowatéj przeważa żółć, ztąd więcéj narowu i złości w téj sierści, ztąd są niecierpliwe i niemiłe w wędzidle, niespokojne do siadania, łechczywe w karku, w łytce i w ogonie. Dzielny kasztan potrzebuje bardzo spokojnéj ręki, dobrego jeźdźca w siedzeniu, małego ciężaru zrazu kiedy się bierze do wozu. Potrzebuje zawsze jednéj ręki, raz źle użyty lub znarowiony, długiego potrzebuje czasu żeby się poprawił i tylko w dobrém ręku się poprawi. Gniéw lub dzielność jeźdźca lub woźnicy nie udziela się ża-

dnemu koniowi tak bardzo jak kasztanowatemu. Kiedy inny od gniewu i chłosty karnieje, to on się gniewem człowieka zapala, hardzieje coraz bardziéj i szalone robi rzeczy; ztąd tylko swojemu siadać na kasztana, kiedy dzielny i wielkiego rodu, a i ten nigdy znać nie będzie co mu zrobić może.

Jeżeli kasztan jest jabłkowity bywa twardszy, bo nie tyle zły i łechczywy, a zawsze lepszy czém ciemniejszy i w sierści i w jabłkach; podobnie jak rudowacizna w téj sierści, w grzywie i w ogonie lub w pojedyńczych dłuższych rudych włosach, przerzucających się po całéj skórze kasztanowatéj, należy już do najgorszych znaków w téj maści.

Po kasztanowatéj idzie sierść cisawa. Konie téj maści są w ogólności tego samego przyrodzenia co kasztanowate. Czém czerwieńsza cisowacizna, tém złośliwsze i niepewniejsze; trudne do użycia, bo im się wielkiéj dzielności zachciéwa. Jeśli co dobrego czynią, to tylko z własnéj woli i fantazji, niestałe i narowiste, trudzą się téż prędko; a czego się nauczą zapominają rychło. Do biegu bywają skore i biegu żartkiego, ale nie na długą metę. W téj maści bywają takie odmiany: jasno-cisawy mało że nie czerwony, ten ze wszystkich cisawych złośnik największy i prawie nigdy nie pójdzie ręką; bo gdy dzielniejszy, pełen narowu, gdy podlejszy, kaléczeje, zawsze niedobry dla jeźdźca i ludzi co koło niego chodzą. Daléj cisawy o śniadéj grzywie, takimże ogonie i ciemnéj

prędze przez krzyż: ten natury dobréj, wytrwały i już pracowitszy, gdy się z jeźdźcem zna. Trzeci bywa ciemno-cisawy, a ku temu z ciemną pręgą przez krzyż i ciemno-jabłkowity. Sierść taka należy już do osobliwości i miéwa wielkie przymioty. Na takim to koniu dowodził król Jan pod Wiedniem — zwał się „Pałasz.“

Czwarty w końcu bywa cisawo-pleśniwy, który tém lepszy czém się więcéj białego włosu po cisawéj sierści przerzuca: taki koń trwały, dobry i bezpieczny. Jak już samo mówi przysłowie: „Cisawo-pleśniwy, rycerzom szczęśliwy.“

Maść izabelowata rzadka gdy czysta, a w koniu dzielnym wielkiéj zalety. Osobne téż stada chowano téj maści, aby ją utrzymać w jednéj mierze i czystości.

Konie téj sierści bywają wielkiéj duszy użyte pod wiérzch, wielkiéj wspaniałości kiedy w cugu idą — jeden spoziéra na drugiego i górno się niesie; narów tu nie znany, karać się nie dadzą, pochlebiać im trzeba, bo się znają na sobie. Dzielność w nich zawsze jedna, czy z dziedzińca w bramę, czy z drogi przed ganek, tylko w drodze z niemi biéda, bo powoli jedzą i tylko z wysokiego żłobu; koni małych nie cierpią, ztąd, jak napadną gdzie, biją i zagryzą; kucyk przy nich nie może chodzić i strach przy izabelowatym na wyrostka, gdyby na kucu siedział, bo go sięgnie zadem przez drugiego konia, albo nakryje przodem. Izabelowaty

zna się na rzędzie, na szorze i okazji; czém szor i rząd bogatszy, czém większa okazja, tém górniéj się niesie; zawsze dopisze gdy trzeba, w największéj wrzawie i natłoku spokojny i wspaniały; odważny, ale nie junak; w kalwakacie czy w boju jeden, lubi łakocie, potrzebuje pieszczoty, lubi muzykę i najłatwiéj go się ujeździ gdy mu przygrywają, ale rozumnéj potrzebuje ręki, a gdy pryskać zacznie, to już źle.

Mniéj nawet godne konie w téj sierści mają podobne zalety, ztąd lubią w wojsku wachmistrze a przy stadach stadniczowie jeździć na izabelkach.

Bułana sierść w powszechności ani wielkich wad ani wielkich zalet nie ma; często miękkiego ściérwa, to też prędko spada i prędko się poprawia w ściérwie.

Bułany dobry do orczyka, gdy ma szerokie czoło, szeroko i równo między uszyma, a jest rozpartego zadu; dobry także na podjezdka, bo ostrożnie koło chartów idzie, zapala się za zwiérzem, a czujny gdy na poszczuciu i stanowisku stoi; w szeregu zaś karny. Bułany tém gorszy czém jaśniejszy, zwłaszcza jeżeli ma rybie lub wilczate oko, jeżeli grzywa i ogon jednéj maści z felem. Do piękniejszych odmian należą bułanki lśniąco-masłowate, z białemi jak śnieg grzywami i ogonami; te bywają bardzo łagodne, pojętne, wesołe, bez złości i narowu; ztąd téż wsadzano na nie wyrostki i niewiasty, bo jak się chodów i zwrotów wyuczą, i bez wędzidła i bez wprawnéj ręki, na cmoknienie lub

znak robią wszystko karnie i względnie, choć jeździec temu nie praw.

Więcéj jeszcze cenioną odmianą jest bułany o czarnéj grzywie i czarnym ogonie, a gdyby do tego przyszły uszka jak u lisa czarno postrzyżone, czarne nogi i chrapy, ciemna pręga przez krzyż i ciemne lub czarne jabłka po zadzie — to już nie mieć go nawet za bułanka, bo dzielniejszych koni w żadnéj maści nie bywa; ale bardzo rzadko się zdarza, żeby się te wszystkie dobre znaki w jednym koniu znalazły; częściéj że pojedyńczo.

Bułano-jabłkowity, jakieby jabłka nie były, bywa zawsze trwały, pracowity, cierpliwy, ale rzadko skory, częściéj tępy i małego pojęcia.

Sierść siwa bardzo chwalona w powszechności, jak już samo mówi przysłowie:

„Kto nie miał siwego,
Ten nie miał żadnego.“

Siwy tém lepszy czém ciemniejszy, bo więcéj krwi miéwa, a następujące odmiany rozróżniają w téj maści: siwo-jabłkowitą, prese białą, siwo-gorczyczkowatą, mrozowatą, dropiatą, i w końcu szpakowatą.

Siwo-jabłkowity najlepszy, zwłaszcza jeżeli jabłka w czarne lub w niebieskie biją i są foremne a niezbyt wielkie i zad osypują. Konie takie bywają wytrwałe, drożne, robocze i bezpieczne.

Koń prese biały, co z wiekiem nie chwyta tatarki, białéj lub różowéj skóry i białego rogu bywa — jest spojrzenia dziwnie pięknego, wspaniały i do izabelowatych z natury podobny. Maść to monarsza ale dziwnie delikatna, potrzebuje ciepła i wielkiego starania, podległa chromotom i różnym chorobom; ztąd tylko w najdzielniejszych koniach i w wielkich stajniach poszukiwana, ale dla szlachcica i żołnierza niesposobna, jak już samo mówi przysłowie:

„Biały cały, albo wszystek dobry i chrobry, albo wszystek pies.“

Gdyby zaś biały miał skórę czarną i czarny róg — to nietylko w téj maści nie bywa dzielniejszych koni, ale mało w któréj; bo takie konie są wytrwałe, z wiekiem przybywa im dzielności; w gorącym harcu, czém dłużéj trwa, tém większego nabiérają ognia, płatami oblatuje z nich piana i czarna skóra wychodzi na wiérzch, tak iż biały poszedł do harcu a sino-żelazny wychodzi z niego. Konie o czarnéj skórze wielkiéj są dzielności ale bardzo rzadkie.

Siwo-gorczyczkowate konie bywają znowu trojakiéj odmiany: z czarną gorczyczką i te bywają dobre; z czerwoną gorczyczką mniéj piękne i nie tyle cenione, zwłaszcza jeżeli się takowa przerzuca po nozdrzach i chrapach, znamionuje to hardość, niepotrzebną podniosłość i krnąbrność w koniu; ale jeżeli się zdarzy jak gdyby grubym bobem osypany koń z rzadka, gdyby nadto jeszcze miał takież znaki

na pęcinach, jak od pęta, toż na kolanach pręgi, a po sobie znaki jak gdyby szramy od cięcia — to już wielki ród znamionuje i w lada koniu się nie znajdzie: choćby był nie bardzo urodziwy, takiego chowaj, bo wszystkie chody zrobi w miejscu i nie tylko na wolnym placu ale w klatce stojąc.

Sierść mrozowata, to jest gdy wrona szerść z białą się nie pomięsza, ale gdy są w czystości obok siebie — dobry to znak, zwłaszcza gdy głowa, uszy, ogon i grzywa są czarne: nazywają takiego murzynkiem. Koń taki nigdy złym nie bywa, ale jest rzadki.

Dropiata maść zdaje się najmniéj cenioną w siwéj sierści, zwłaszcza jeżeli drop ma żółte, złote lub czerwone oko: taki bywa mdły i słaby, dziki i narowisty. Lepszy gdy ma oko czarne, a najlepszy z dropiatych ten co jest jabłkowity; w powszechności jednakowoż nie mają dropie wielkiéj famy.

Szpakowata maść miła na oko ale nie wielkiéj cnoty, jak już sama mówi przypowieść:

„Nad siwego w świecie nie ma,
Szpaczek chwyci lecz nie wstrzyma.“

Szpak póki młody, dzielny — ale z laty, w miarę jak bieleje, wołowacieje i nikczemnieje. Lekkoróbb, wielkiego potrzebuje oka i pilnego starania, a lada czém w niwecz się obraca.

Maść w końcu wrona niewielkich jest zalet, jakoż u nas nie bardzo lubiona: kare konie nie mają

miłości do siebie, a czego człek nie kocha tego i chować nie powinien.

Kary zimny, wołowaty; trwały wprawdzie, ale z tysiąca jeden dzielny i wesoły, chyba żeby miał foremną łysinkę i był białonóżka na wszystkie cztéry.

Z karych najlepszy wrony, gorszy myszaty, a najgorszy popielaty, i tém gorszy czém jaśniejszy. Pręga przez grzbiet i ciemniejsze nogi poprawiają trochę rzecz w tych odmianach, zawsze jednakowoż uważany jest myszaty za narowistego a popielaty za mdłego. Myszaty, jeżeli dzielny, nabywa łatwo wady ogona; jeżeli tępy, nie można z niego zdjąć bata.

Ze wszystkich wronych najlepszy ten co kawczéj maści bywa, zwłaszcza jeżeli jest lekko oprószony siwym włosem.

Karego nie mają wprawdzie za nieszczęśliwego konia, a jednak jest wojskowa przypowieść:

„Na wronym nie jedź do boju, a gdy cię zpieszą — nie siadaj na kasztana.“

Tyle tedy o różnych maściach koni według tradycyjnéj hippiki. Co się tu o znaczeniu każdéj maści w powszechności rzekło, ma się rozumieć o każdéj, jeżeli jest bez żadnych innych odmian i znaków; jeżeli zaś przybywają nagłówne, nożne i felowe odmiany i znaki, w sierści i skórze — zmienia to znacznie naturę konia; bo te znaki są, według zdania znawców, wyższego znaczenia i znamionują jeszcze inne rzeczy i własności w koniu obok maści.

Z nagłówkowych znaków idzie naprzód łysina. Łysina podługowata, która brwi znaku nie dotyka a nie kończy się nad nozdrzami, ale wązko na chrapy przechodzi, dobrze świadczy o koniu; również podobna strzałka, która piórami niby na czoło przypada a grotem ku chrapom, znamionuje rycerskiego konia.

Łysina szeroka, która oczu i brwi sięga, znak to w koniu gnusności ducha i lenistwa ciała, ale zarazem długiego żywota.

Koń białéj mordy i taki chrap — znak głupstwa i miękkości: taki bywa niepowodny i prędko szwankuje.

Gwiazdka foremna nie wielka a jasna i srebrnego włosa na czole, jest znakiem dobréj natury w koniu wielkiego serca i wielkiéj cnoty — zwłaszcza gdy się z taką odmianą dobry znak nożny łączy, to o takim koniu najlepiéj sobie wróżyć można, ale w połączeniu ze złemi nożnemi znakami, mało co i jasna gwiazda poprawi.

Gwiazdka i chrapka biała źle znaczy: koń taki miły i łagodny bywa, ale przypadkom podległy.

Famy gwiazdka bez innych odmian jest znakiem wesołości w koniu i czystego dowcipu, a im foremniejsza tém większego.

Do nagłownych jeszcze znaków policzają kość szeroką i płaską między uszyma, która oznacza konia spokojnego, trwałego i roboczego. U innych koni bywa kość ostra między uszyma a nawet wyraźny guz: konie takie bywają bardzo skore, rącze i żartkiego biegu, do skoków wyśmienite i tém więcej sposobne

czem większy guz; ale nie bywają tyle wytrwałe co konie płaskiéj kości i szérokich między-uszy.

Przystępując do tłumaczenia nożnych znaków, poczynamy od nazwania każdéj nogi.

Przednia prawa noga zwie się „wyskoczną“, bo koń ujeżdżony wyskakuje tą nogą przodem gdy z kopyta ruszy.

Lewa przednia noga zwie się „grzebną“, bo tą nogą wygrzebuje sobie koń w stepach paszę z pod śniegu.

Prawa zadnia noga zwie się „włoczną“, bo około niéj ciągnie się włocznia w szeregu czy w stadzie.

Lewa w końcu zadnia zowie się „siadaną“ bo z téj strony wsiada się na konia i od niéj przerzuca się nogę. Cały téż lewy połeć konia zwie się „wsiadanym“.

„Po siadanéj stronie“ leży moc i złość konia, na siadaną stronę bierze koń na kieł — ztąd téż wsiadając na konia od lewéj strony i ważąc się w strzemieniu, ma go się do razu w mocy; nazywają także lewy połeć konia „wytocznym“, bo po téj stronie bywa wytok upięty; a prawy nazywają „odwłocznym“ bo po téj stronie nosi i wlecze się włocznia.

Przytaczamy tutaj tych kilka wyrazów, by dać dowód, jak już sam język świadczy tu o rzeczy, o hodowli koni i głębokiém zapatrzeniu się na istotę przedmiotu, kiedy dziś niczego nazwać nie umiemy, chociaż czasem nawet wiemy o co chodzi.

Otóż w nożnych znakach znaczy „biała wyskoczna“ konia spokojnego, powolnego, sposobnego do nauki, ale często podległego przypadkom, bo już z przyrodzenia jest ta noga słabszą od grzebnéj, przez ubielenie słabnieje więcéj a więcéj jeszcze przez najeżdżanie, gdy się siłę konia „na włocznią“ przekłada i podnosi.

Biała grzebna noga małego poważania u znawców, bo przez ubielenie osłabia się koń w najtęższéj nodze swojéj, na któréj cwałuje, kiedy jest wolny.

Biała włocznia noga, chociaż się taki koń pokazuje w czynieniu naręczny, uchodzi za hardego, a nadewszystko nieszczęśliwego i takiego nie brać do wielkiéj okazyi: konia takiego nazwano „odwłoczkiem“ i jest przysłowie wojskowe:

„Siadany uciecze,
Odwłoczek powlecze“.

Jakoż ze wszystkich nożnych znaków w koniu, nie ma tak dobrego jak gdy koń ma białonóżkę siadaną, nie wyżéj ubieloną jak po kostkę, bo taki i czystego serca i dobréj a wesołéj fantazyi i wielkiego biegu, i więcéj zawsze zrobi niż może, a nadewszystko że taki szczęśliwy!

Jeżeli obie przednie białe, odwłocznia i siadana, zwłaszcza gdy na czole gwiazdkę miewa, tém lepszy, byle nie miał nóg przednich białych, a najbardziéj prawéj.

„Koń w pończoszkach“ tj. na cztéry białonogi, znak to bardzo dobrego umysłu i fantazyi dobréj, ale łatwo szwankuje i chromieje; chyba żeby miał łysinę foremną, wówczas to wielką znamionuje dobroć.

Jeżeli koń ma „wyskoczną i odwłoczną białą“ tedy niebezpieczny i małéj ceny; jeżeli ma obie „wytoczne“ białe, mało co lepszy.

Jeżeli na krzyż ma białe nogi, od wyskocznéj do siadanéj, to już lepszy, ale także nie wiele wart, bo się związać lubi.

Jeżeli ma grzebną i odwłoczną białą, nieszczęśliwy i niebezpieczny, szwank z takiego konia pewny: jeżeli w końcu obie wytoczne białe, nie lepszy i ścigać się lubi; zawsze jednak na krzyż, aniżeli połciem, białe nogi lepsze. W każdym razie białość nie ma przechodzić nad pęciny, im wyżéj białość sięga tém gorzéj, im niżéj tém lepiéj, a dobroć lub złość według nogi — zawsze jednakowoż poprawia foremna łysina lub gwiazdka cnotę w koniu, albo białonóżka siadana.

Zdarza się że dłuższy włos pokrywa odmiany a krótszy całego konia — i to już zły znak, bo odmiany wszelkie mają być krótszą i lśniącą się sierścią pokryte, krótszą niż cały koń, w przeciwnym razie, oznacza to w koniu ród podły.

Co o sierści, toż samo znaczy się o rogu. Jeżeli róg u białonogich biały, zawsze źle i o tyle ubywa im wartości, nawet zresztą przy dobrych znakach nożnych.

Koń bez żadnéj odmiany jednostajnéj jest natury: pracowity i do nauki sposobny, ale bez fantazji a często hardy i uporny.

Koń oczu jaskrawych, wielkiego białka, albo gdy białe lub siwe miéwa w oku miasto czarnego, krom tego że szpetny, miéwa kurzą ślepotę, a na śniegu, zwłaszcza w dzień jasny, mało co albo nic nie widzi.

Po nagłownych i nożnych znakach idą w końcu znaki *felowe*, znamionujące w koniu krew dobrą i ród szlachetny. Tu wypada rozróżnić naprzód *odwroty* czyli *piórka orle* od *wichrów* czyli *wirów*, ale nie od tych *wirów* które ma każdy koń na czole, na gardzielu, na uszach, na pępku i bokach, ale od tych *wirów*, które się po innych miejscach znajdują na koniu. W największéj cenie miane jest *orle piórko* czyli odwrót podłużny, a tém wyżéj cenione, czém dłuższe i równiejsze, po obu połciach konia równéj długości i w tém samém miejscu. Dobre orle piórko gdy na czole, po obu stronach wzdłuż szyi, dobre jeżeli ich więcéj jest, gdy w nieparzystéj liczbie, na grzbiecie, w podle samego rzepia, słowem wszędzie tam, gdzie go koń okiem zajrzéć nie może. Znak to szczęśliwy i wielki!

Mniejszéj już ceny *wiry* i *wichry*, zawsze jednak dobrze świadczą o koniu i jego rodzie, byle się nie znajdowały blizko serca lub na sercu, ale tam gdzie koń o nich wiedziéć nie może.

Na tych trzech artykułach kończę objaśnienia do Mohorta, ulegając wielu żądaniom. Jeżeli ktoś to miejsce dla rozpraw hippicznych za niestósowne uważać zechce, niechaj rozważyć raczy, że z tego stanowiska odpowiedzieć musiałem, z którego mnie zapytano, uważając każdą nową pracę zawsze za list do starych przyjaciół.

OMYŁKI DRUKU,

w Mohorcie.

Str.	*wiersz*	*jest*	*popraw*
12	8	sią	się.
24	ostatni	więciej	więcéj.
33	5	Oo	Od.
35	6	konikem	konikiem.
37	13	pofolgowoł	pofolgował.
38	21	srodi	srogi.
65	15	sią	się.
66	7	najpierwczy	najpierwszy.
74	1	dworkie	dworskie.
74	2	wykwintnie	wykwintne.
81	5 od dołu	sudanna	siadana.
93	2	kon	koń.
120	20	przyaźń	przyjaźń.
121	6	sęsiad	sąsiad.
150	3	ostatnie	ostatnia.
165	20	porzednika	poprzednika.
168	12	lśniace	lśniące.
168	ostatni	szabaturah	szabaturach.
177	12	urokicm	urokiem.
181	9	chiała	chciała.
195	14	kolumny	komendy.
214	14	Amantino	Andantino.
222	2 od dołu	doniczego	do niczego.
223	11 „ „	pzwracać	powracać.
224	1	hodnją	hodują.
225	2	piękych	pięknych.
226	15	uż	już.
231	ostatni	doświadceniu	doświadczeniu.
232	20	powimy	powiemy.
234	13	najeźdić	najeździć.